MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 45. WARSZAWA, 20 PAŹDZIERNIKA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

ZŁOTY CIELEC

GWAŁTOWNOŚC wystąpień angielskiego kanclerza skarbu p. Filipa Snowdena, która tak niespodziewanie zamąciła obrady haskie, a jeszcze bardziej jednomyślność, z jaką cała bez wyjątku opinja angielska poparła te wystąpienia, nie były tak łatwe do wytłumaczenia. Boć ostatecznie sumy, o które walczył p. Snowden nie były tak wielkie, żeby aż okupywały prostactwo socjalistycznego ministra; atak jego kierował się głównie przeciwko Francji, która przecież dotąd nie uchodzi w bieżącej opinji angielskiej za najczarniejszego wroga; pozatem zaś p. Snowden, wskutek stanowczej postawy Włoch, nie wiele ostatecznie wskórał, przynajmniej nic zasadniczego nie przywiózł w swojej torbie myśliwskiej, a pomimo to w opinji swego kraju zatriumfował, stał się pewnego rodzaju bohaterem narodowym, otrzymywał ze wszystkich stron podziękowania, życzenia i t. p. Czyżby to wszystko za owe dwa i pół miljona funtów, których regularne otrzymywanie stoi zresztą w opinji fachowej pod znakiem zapytania? Można wątpić.

Prawdopodobniejsze się wydaje zdanie niektórych publicystów francuskich i amerykańskich, którzy uważają, że nagły wybuch entuzjazmu dla Snowdena był podświadomą reakcją Anglji na nurtującą ją oddawna troskę o utrzymanie przodującego w świecie stanowiska. Świadomi rzeczy rozumieją, a ogół Anglików czuje, że pomimo wszystkich pięknych słów o kuzynowstwie, światowe stanowisko Anglji jest od czasu wojny stale przez Amerykę podkopywane; nikt nie daje publicznie temu wyrazu, ale niepokój i wściekłość nurtują w głębi duszy każdego. Radość z jaką przyjęto w Anglji atak Snowdena na plan Younga powinna być rozumiana jako odruch, niezupełnie trafnie skierowany, wynikający z trawiącej sumienie angielskie złości na widok Ameryki, rozsiadającej się dziś bezceremonjalnie na tych miejscach, na których Anglik dotychczas tylko swoich widywać przywykł.

Plan Younga jako całość ocalał jednak i przynosi Ameryce nowy sukces w postaci banku reparacyjnego, który będzie pozostawał pod przemożnemi wpływami amerykańskiemi, a ma wykonywać „kontrolę" nad całem życiem ekonomicznem Europy. Przed paru laty ówczesny sir Alfred Mond, dziś noszący tytuł lorda Melchett, wielki przemysłowiec i finansista angielski wyznania mojżeszowego, planował stworzenie właśnie takiego banku centralnego, któryby po ojcowsku zaopiekował się ekonomicznem życiem Europy, zracjonalizował je, tu coś forytując, ówdzie znów coś hamując, a zawsze oczywiście mając na uwadze interesy wielkiego „*business*'u", zabiegając o utrzymanie dotychczas stanu posiadania krajów przemysłowych, utrudniając, a o ile się da uniemożliwiając nieracjonalną konkurencję narodów mniej uprzemysłowionych a ambitnych, pragnących rozwinąć swoją własną produkcję. Nie wiadomo w jakiem stadjum znajdują się prace lorda Melchetta, czy doprowadziły do jakiegoś praktycznego rezultatu, w każdym razie niewątpliwą rzeczą jest, że Amerykanie przez swój projekt banku reparacyjnego wyprzedzili go zarówno co do czasu, jak też i co do doskonałości pomysłu, tworzą bowiem instytucję, nie tylko wyposażoną we wszystkie warunki, o których myślał lord Melchett, lecz ponadto mającą charakter i kompetencje intytucji państwowej, o czem ten na razie nie marzył.

Tak czy owak Złota Międzynarodówka otrzymuje nowe narzędzie do podboju świata i narzędzie to będzie pod dominującym wpływem kapitału amerykańskiego. Skromna nazwa banku reparacyjnego nie powinna nikogo wprowadzać w błąd co do roli, jaką ma on odgrywać, inicjatorzy nie kryją się zresztą z tem, że w ich zamierzeniach ma to być organ kontrolujący życie ekonomiczne Europy.

Przed paru laty wielcy bankierzy świata wydali manifest do ludów, zalecający prowadzenie takiej a nie

innej polityki; był to pierwszy akt publiczny, którym bankierzy manifestowali swoje pretensje do kierowniczej w ludzkości roli. Odezwa ta nie miała powodzenia. Nikt tak dalece nie zwrócił na nią uwagi, a tu i ówdzie ośmielono się nawet przywołać panów finansistów do porządku i wezwać ich do nie mieszania się w nieswoje sprawy. Jeszcze widocznie społeczeństwa nie dojrzały do tego, aby uznawać bez zastrzeżeń moralne prawo ludzi, zajmujących się zawodowo pożyczaniem pieniędzy i regulowaniem obiegu znaków pieniężnych, do zaszczytnej roli wskazywania dróg, jakiemi ma ludzkość kroczyć.

Istotnie, trudno sobie wyobrazić, żeby jawnie wyrażona pretensja bankiera do nadawania ideowego kierunku społeczeństwu nie wywołała zdziwienia nawet pośród agentów giełdowych; tem nie mniej jednak władza i wpływ finanjsery w nowożytnych społeczeństwach niewątpliwie nieustannie rośnie i o ile nie nastąpi zbawienna reakcja, to B a n k przywłaszczać sobie będzie coraz bardziej rolę „nowoczesnej" Ś w i ą t y n i. Nie darmo już teraz można często czytać nazwy „świątyni", na razie tylko „życia gospodarczego", nadawane giełdom, a takie zestawienie pojęć nikogo nie gorszy i jak bluźnierstwo nie brzmi. Uznanie *de iure* B a n k u za wodza nie jest jeszcze możliwe i podobne wystąpienia jak manifest, o którym wyżej była mowa, będą może jeszcze dość długo fałszywemi ze strony B a n k u krokami, *de facto* jednak B a n k zdobył już ogromną władzę i ludzie zaczynają godzić się z tem, że pieniądz, a więc i ci, którzy nim handlują i rozporządzają, odgrywają tak przemożną rolę; godzą się i utrzymują, że zawsze tak było.

Oczywiście, człowiek zawsze miał swoje potrzeby materjalne i pieniądz, czy bogactwo miało swój wpływ na życie jednostek i społeczeństw. Materjalnej strony życia ignorować niepodobna; nietylko nie każdy może być, ale przeciwnie tylko wyjątkowo ktoś może się upodobnić św. Franciszkowi. Inną jest jednak rzeczą, przyznanie materjalnej stronie życia roli dominującej i decydującej. Tego „zawsze" nie było; jeżeli było zaś, to tylko w epokach upadku, a opowieść o Złotym Cielcu i maksyma, że „Bogu i Mamonowi jednocześnie służyć nie można", ma za sobą poważną dawność.

Służba Bogu wzrusza mniej ludzi dziś, niż to było w czasach, kiedy gromadzenie bogactw nie było uważane za konieczne i chwalebne, a rozdawanie posiadanego majątku biednym nie było zjawiskiem zbyt wyjątkowem. Lecz nawet ci, którzy lekceważąco patrzą na życie moralne średniowiecza, nie mogą bez obawy myśleć o zupełnem zapanowaniu nad sprawami ludzkiemi pieniądza, rozdzielanego przez władzę anonimową, nie posiadającą żadnego moralnego oblicza. Jasne jest, że równa się to zupełnej katastrofie naszego okresu cywilizacji. A tymczasem jesteśmy na drodze ku temu poważnie zaawansowani. Zilustruje to najlepiej parę wyjątków z nowoczesnego Plutarcha.

Otóż pośród „Żywotów", jakie nasz wiek przekaże potomności, znajdą się już takie kwiaty, jak życiorys międzynarodowego aferzysty Bazylego Zacharoffa, napisany po niemiecku przez giełdowego redaktora „*Voss. Ztg.*" i tłumaczony na inne języki. W życiorysach amerykańskich miljarderów zwykliśmy czytać o dość monotonnych początkach karjery: z reguły każdy z nich rozpoczynał od czyszczenia butów na ulicach. Czem się zajmował najpierw sir Bazyli dokładnie nie wiadomo, bowiem drobne hotele Lewantu nie utrzymują kroniki czynów operujących koło nich faktorów, natomiast pierwszym zaregestrowanym faktem z życia przyszłego potentata finansów jest sprawa o kradzież, wytoczona przed jednym z sądów londyńskich. Jak widzimy odskok od skromnych lecz niewinnych czyścicieli butów jest u najnowszego finansisty dość znaczny. Potem idą coraz większe pośrednictwa, głównie w branży zbrojeń, zakończone zdobyciem olbrzymiej fortuny, szlachectwa angielskiego, kupnem większości akcyj domu gry w Monte Carlo i długoletnim stosunkiem intymnym, zakończonym w starości małżeństwem z córą jednego z najdumniejszych domów panujących. Popularne pisma angielskie rozpisują się w ostatnich czasach szeroko o wydanym niedawno życiorycie innego potentata, tym razem króla djamentowego z Afryki Południowej i chwalą skromność tego człowieka, gdyż zrzekł się tytułu lorda, zaofiarowanego mu przez rząd Lloyda George'a. Istotnie zrzekł się, ale w jakich okolicznościach? Oto prasa konserwatywna, będąca wówczas w opozycji, wyciągnęła na jaw zupełnie kryminalną przeszłość tego bogacza i stało się to nawet jedną z przyczyn upadku Lloyda George'a. O tych przyczynach skromności bohatera życiorys oczywiście nic nie wspomina, charakterystyczne jest jednak, że w tak niewiele lat po kompromitacji ośmielono się wydać panegiryk. Dziś możliwe jest jeszcze ostrzeżenie opinji przed podobnego rodzaju bohaterami, lecz już coraz trudniej, skoro służba informacyjna, będąca do niedawna jeszcze w ręku ludzi poświęcających się publicystyce z powołania, traktujących swój zawód jako służbę społeczną, staje się obecnie dodatkiem do kapitalistycznych przedsiębiorstw reklamowych, zwanych dziennikami, w których daje się do czytania publiczności to tylko, co w interesie tego kapitału leży; o innych rzeczach publiczność poprostu nie wie, prasa niezależna bowiem, nie mogąc wytrzymać konkurencji z miljonowemi przedsiębiorstwami, ginie zakrzyczana rejwachem czynionym przez wielkie kolubryny, będące na usługach trustów finansowych.

Jedną z najtrudniejszych rzeczy przy ocenianiu zjawisk życia nowoczesnego jest niewątpliwie wydobycie się z pod władzy suggestji, szerzonej przez prasę w interesach dziś już przeważnie wielkiej finansjery. To też wcale nie jest rzeczą zbyteczną zwracanie uwagi na kroki, zmierzające do coraz pewniejszego ugruntowania królestwa Złotego Cielca na ziemi. Któż inaczej pomyśli o rozpędzeniu bałwochwalców?

ZYGMUNT RACZKOWSKI

POLITYK HUMANISTA

ZESTAWIENIE tych dwu pojęć jest niewątpliwie radosną możliwością, zwłaszcza na naszym, tak świeżym terenie politycznym. Radosne jest takie zestawienie, niestety, dla samej swojej rzadkości. W rzeczywistości powinno być inaczej. *Humaniora* od wieków miały na celu naukę o człowieku, więcej o tem jakby go uczynić bardziej człowiekiem, niźli jest, niźli bywa zazwyczaj. Mieści się w tem przeto także cała psychologja polityczna, cała umiejętność współdziałania z ludźmi i społecznością. Historja i jej dokumenty wraz z jeszcze cenniejszemi meterjałami literackiemi i artystycznemi są, w takiem rozumieniu, niczem innem jak nagromadzonym stosem wiekowych testamentów co dzielniejszych jednostek ludzkich. Któż więcej, niż polityk powinien zainteresować sią schedą tych, którzy byli ludźmi i więcej, niż ludźmi, któż bardziej powinien ją poznać i sobie na krew i tkankę przyswoić?

Książka, którą mam przed sobą [1])—jest wybitnie dwuwarstwową. Pod jej obliczem politycznem, które tu dziś pominiemy, istnieje w niej głęboka podbudowa kulturalno-humanistyczna, co rzuca się w oczy przy jej czytaniu. I zaiste nie obce są te głębokie fundamenty grubego tomu bardzo rzadkiemu w naszem życiu dziennikarskiem, zjawisku, iż artykuły, z dnia na dzień pisane przez lat dziesiątek, złożyć się mogły, wiernie przepisane, na książkę, i to książkę zwartą i architektonicznie jedną.

Pozbierał tu autor artykuły rozsypane po szeregu perjodyków i dzienników. Mamy tu więc karty z przedwojennego dwutygodnika lwowskiego „Rzeczpospolita", z paryskiego tygodnika *„Indépendance Polonaise"*, wychodzącego w czasie i dla kongresu Wersalskiego, z warszawskich wreszcie dzienników „Rzeczypospolitej" i „Warszawianki". Od pierwszej do drugiej „Rzeczypospolitej", od „Paryżanki", jaką była *„Indépendance"* do „Warszawianki", jedność myśli i stylu, energji i chwytu redaktora tych wszystkich organów jest istotnie uderzająca.

Niezmierna jasność myślenia, zadzierzystość w ataku, humor i cięta ironja, zaś od czasu do czasu, pewien liryzm, jeżeli nie patos uczucia, grają na rozlewnej fali tego dziennikarskiego stylu całem bogactwem romańszczyzny, jaką niewątpliwie autor przesiąkł.

I tu właśnie dochodzę do owej głęboko ukrytej, dla świadomego oka wyraźnej, podbudowy humanistycznej pracy dziennikarskiej autora. Stroński czytał dużo i to rzeczy nieraz takie, które się czyta rzadko. Czasem aż się wstydzi zbytniej rzadkości swoich źródeł i np. nie zamieścił w tomie pięknego artykułu, przyrównującego Hallerczyków do zastępu rycerzy średniowiecznego bohatera epiki francuskiej Aïmer le Chétif, zjawiającego się zawsze w ciężkiej chwili niebezpieczeństwa, niewiadomo skąd, w rynsztunku bitewnym i gotowości do ataku. Do tejże proweniencji zaliczyć należy przepyszne zestawienie śmierci księcia Józefa ze zgonem Rolanda, także dowodzącego arjengardą cesarską i kryjącego odwrót. „Nazwano Polskę przedmurzem chrzescijaństwa. Byliśmy w istocie arjengardą Europy. Byliśmy nią pod Lignicą, Warną, Cecorą, Chocimem, Wiedniem, byliśmy nią także pod Pskowem, Beresteczkiem, Racławicami i Maciejowicami (pisząc to w r. 1913 nie wiedział jeszcze autor o bitwie warszawskiej z r. 1920). Za tą arjergardą... szła Europa spokojnie w pochodzie rozwoju gospodarczego i prawnego... A my żyliśmy jak w obozie, w ciągłym niepokoju, ustawicznie zagrożeni i szarpani". Właśnie jak hufiec Aïmer'a le Chétif...

Żyjąc w ogniu czy przeciągu ustawicznej waśni, jaką jest życie polityczne, Stroński pozbył się gruntownie wszelkiego kurzu na swej erudycji, której nie czuć nigdy bibljoteczną stęchlizną. Lekturę swą przemienia w mig w swą własną energję myślową i ciągnie z niej zestawienia zawsze żywe, grające analogją i kontrastem.

To nastawienie, szukające i wiążące, nie opuszcza go nigdy, nawet w teatrze. Na premjerze Nowaczyńskiego, w Teatrze Polskim, 5 listopada 1927 roku, w lot pojmuje odwieczny sens zagadnienia Demosu: „Lat temu 2350 w Grecji było już to samo, co dzisiaj w Europie i w Polsce", demokracja z powszechnością, równością i proporcjonalnością głosowania, ba, nawet i gminowładztwo z „niektóremi zarodkami sposobu sowieckiego czyli radzieckiego"...

I tak wciąż. Stroński bez specjalnych dociekań estetyczno-literackich, ma zdolność usytuowania zjawiska literackiego w samym środku zagadnienia szerszego, społeczno-kulturalnego, narodowego. Wtedy dopiero należycie rozumie dzieło sztuki i wtedy też należycie je ocenia. Niezmiernie obcemi wydają się mu wszelkie kryterja estetyczne same w sobie, wszelka sztuka dla sztuki. Interesuje go dzieło jako symptom.

Ale i poprzez takie rozważania dziejowo-socjologiczne, rodzi się w naszym polityku — wtórnie — sentyment, który szczepi na jakichś z młodych lat idących przywiązaniach entuzjastycznych. Stąd gorąca nuta odniesienia się czy to do Sienkiewicza, czy do Żeromskiego, czy wreszcie do całej kultury zachodniej.

Sienkiewicz? taki właśnie, jakiego się ongi — nie dziś — czytało w gimnazjalnych latach. „I oto, jak ujarzmiona Polska długa i szeroka, nagle polskość, wydobyta z zapadłych, ale rozżarzonych wiecznem życiem, głębin tysiącletniego bytu na nadwiślańskiej równinie, jęła brzmieć słowem tak przepięknie prosto polskiem, jakiego od Mickiewicza nie słyszano — jęła zaludniać świat marzeń w miljonach dusz polskich posuwistym korowodem postaci, od których polskość biła łuną, rozpalającą lica w bezsennych nocach nad ukochanym światem błogosławionej książki".

A więc tradycja polska! Ta sama tradycja, która co trochę wsuwa politykowi między argumenty bieżące echa — mickiewiczowskie. Litwa! sprawa przyłączenia Wileńszczyzny! Artykuł nosi tytuł „Głos 537 lat", a w nim mowa jest i o wiośnie 1812 roku: „List ma ważny, samemu Jackowi pokaże... Sejm walny w Warszawie zwołany I skonfederowane mazowieckie stany Wyrzekną uroczyście przyłączenie Litwy"... Tenże sam naturalny skłon autora prowadzi go do jednego z najpiękniejszych artykułów zbioru, w którym odnajduje rodzimy wzór polski Nieznanego Żołnierza w dobrze z piosenki i „Tadeusza" znanej postaci żołnierza tułacza:

„który borem, lasem
Idzie z biedy i głodu przymierając czasem
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła."

Dziś niestety zapomniana na korzyść innych parwenjuszek, nieraz obcego pochodzenia...

[1]) Stanisław Stroński, Pierwsze lat dziesięć (1918 — 1928), Lwów—Warszawa, Gubrynowicz.

Tradycjonalista polski, jest Stroński naturalnym torem rzeczy, i tradycjonalistą zachodu. Rdzenne, odwieczne związanie Polski z zachodem pojęte tu jest głęboko i szeroko: jest to związanie się z rzymskim katolicyzmem, które Polskę poprowadziło poprzez wieki średnie, odrodzenie i nawet oświecenie: „pojmuję to w ten sposób, że nawet wszystkie te ruchy, w których objawiała się walka o pojmowanie religji, że nawet ruchy takie, jak Rewolucja Francuska, już do Polski przenikały dlatego właśnie, że Polska wówczas była daleko bliższa Paryża, niż Moskwy". Tak, Moskwa jest właśnie dowodem na to, jak to bez Rzymu trudno trafić do Paryża, trudno stać się najbardziej ze Słowian łacińskim narodem...

*

W końcu tych rozważań chciałbym przystanąć przy dwu punktach, które uważam za znamienne dla indywidualności Strońskiego.

Jedną z tych cech jest wrodzona dążność do zainteresowania się zagadnieniami trudnemi. Oto przykład. Reymontem, który mu był bez wątpienia bliższy, zajmuje się Stroński ogólnie i niewystarczająco go określa. Natomiast Żeromski, który niepokoi go wszystkiem tem, co jest w nim niestrawne i ciężkoprzyswajalne, bo obce i wschodnie, nęci go i przymusza do uwagi. Wynikają z tego określenia o wiele głębsze, niż przy autorze „Chłopów" czy nawet Kasprowiczu. „Komu na ławie szkolnej w r. 1896 targnęła sercem pobudka „Rozdziobią nas kruki, wrony"... kto w r. 1904 bez tchu rozgrzebywał Popioły z przed stu lat... komu w r. 1918 przyszły obszar Polski znaczyła Wisła... ten, padłszy na kolana, płakać będzie, że oto pękło serce śpiżowego dzwonu, w którego dźwięki wsłuchane było w swych niezrównanych przemianach losu pokolenie polskie z końca niewoli i świtu niepodległości". Czemu? „Zjawiska ujmował po swojemu. Gdy czuł gdziekolwiek ognisko bólu i wstydu, ciągnęło go tam nieprzepartą mocą, aż ból jęknął i wstyd zapłonął, tak iż w odsłanianiu bolesnej prawdy dochodził jednostronnie aż do przedmiotowej nieprawdy. Tem nieraz drażnił, ale zawsze potężnie poruszał". Zmaganie się z daleką sobie, więc trudną dla siebie formą twórczości, doprowadziło tu polityka do analizy literackiej, godnej krytyka wysokiej miary.

Drugą taką istotną cechę Strońskiego nasuną nam jego rozważania na temat pogrzebu Słowackiego. Problem Mickiewicz-Słowacki urasta tu do wielkości zagadnienia historycznego i psychologicznego. „Bo Duch-Mickiewicz to jest to, co trwa i idzie także swoją drogą mocno i pewnie, a Duch-Słowacki to właśnie to, co szuka czegoś innego i nieraz dużo znajdzie".

Rzecz znamienna: wyrywają się tu naszemu autorowi słowa podziwu dla Ducha mocnego, który idzie pewnie swoją, jasną drogą. Ale równocześnie bodaj, całą swą sympatją stoi po stronie tamtego, który szuka czegoś innego. I nieraz dużo znajdzie.

Tak jakby Stroński rozpoznawał kogoś sobie bardzo bliskiego w tym luzaku, który harcuje opodal szerokiej, królewskiej drogi.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

PRÓBA REJESTRACJI BIBLJOTEK

DAREMNIE na Wystawie Powszechnej w Poznaniu szukałem w Pawilonie „Oświaty pozaszkolnej" ogólnych zestawień w bilansie różnych, tak obfitych w Polsce prac oświatowych, w szczególności placówek bibljotecznych, czytelnianych i t. d. Rozumiem całą trudność takiego zestawienia. Przyznaję słuszność tym, którzy takiej trochę improwizowanej rejestracji zarzucićby mogli luki i nieścisłości, ale nie mniej szkoda, że dotąd w Polsce nikt nie podjął się opracowania całości tego wielkiego wysiłku społecznego.

Jak trudno w tej dziedzinie o cyfry ścisłe, świadczy przygoda, jaka spotkała na Wystawie nasze Domy Ludowe, które chętniej zwę Domami Oświatowemi: Rejestracją Domów Oświatowych zajęły się potrosze cztery instytucje: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych podaje ich liczbę na 465, Wydział Oświaty pozaszkolnej w Ministerstwie W. R. i O. P. na 887, Państwowy Bank Rolny na 704 (w tem 22 zbudowane przy pomocy kredytów tego Banku), a Ministerstwo Rolnictwa: w r. 1887—4, w r. 1929—917. Przyczyna tak wielkich różnic w obliczeniu tkwi niewątpliwie w niejednolitej podstawie, w innem kryterjum każdego z obliczeń, co to mianowicie jest „dom ludowy".

Dziedziną Oświaty Pozaszkolnej i jej choćby ułamkowem zobrazowaniem na Wystawie Poznańskiej zajął się cały szereg zrzeszeń. Z cyfr tam podanych, spróbuję, bez pretensji do wyczerpania tematu, zestawić bilans pracy bibljotek, głównie bibljotek powszechnych, dla ogółu dostępnych.

W chwili, gdy pojawił się w druku nowy, trzeci już, projekt ustawy o bibljotekach powszechnych, ten temat jest wyjątkowo aktualny.

„Związek miast polskich" w pawilonie swym na Wystawie daje wykresy ilości bibljotek i książek w różnych typach miast całej Polski, a osobno, tylko dla siebie, to samo zagadnienie ujmują wystawy: województwa śląskiego, miast: Łodzi, Warszawy, Poznania i t. d. Wedle tych liczb, razem wszystkie miasta miały:

r. 1919—	41	bibljotek—	355.468 tomów
r. 1928—	153	„ —	1.191.849 „

Cyfry powyższe nie wyczerpują oczywiście ani bibljotek, ani liczby książek w miastach. Są to tylko bibljoteki, prowadzone lub subwencjowane przez samorząd miejski.

Ministerstwo Rolnictwa oblicza bibljoteki wiejskie województwami. Warto się tej tabelce przyjrzeć:

w r. 1928 miały:

Województwo					
warszawskie	606	bibljotek	wiejskich	76.471	tomów
lubelskie	765	„	„	87.929	„
kieleckie	674	„	„	76.308	„
łódzkie	525	„	„	52.867	„
białostockie	343	„	„	47.636	„
wileńskie	233	„	„	37.922	„
nowogródzkie	203	„	„	18 283	„
poleskie	210	„	„	30.870	„
wołyńskie	119	„	„	23.516	„
lwowskie	335	„	„	64.349	„
krakowskie	757	„	„	102.612	„
poznańskie	1.091	„	„	148.157	„
pomorskie	610	„	„	63.110	„
tarnopolskie	150	„	„	17.372	„
stanisławowskie	141	„	„	14.496	„
śląskie	288	„	„	70.788	„

Razem 7.050 biblj. wiejsk. w nich 942.686 tomów.

I ta statystyka nie obejmuje wszystkich bibljotek, na wsi pracujących. W szczególności nie obejmnje bardzo licznych bibljotek szkolnych.

Bardziej szczegółowe zestawienie ilości nagromadzonych książek daje nam wykaz poniższy:

1) Polska posiada obecnie 551 bibljotek naukowych. Z pośród tych 451 bibljotek było:

94 państwowych,	w nich	3.300.700 tomów
41 samorządowych	„	794.200 „
168 tow. naukowych	„	2.214.400 „
132 duchownych	„	907.600 „
16 prywatnych	„	751.900 „

Razem w tych bibljotekach jest 7,968.800 tomów. Tu są zaliczone i t. zw. bibljoteki uniwersyteckie, fundacyjne i t. d.

2) Szkoły powszechne w r. szk. 1927/28 wykazały 22.298 bibljotek — a tomów: 30 czerwca 1927 — 2,414.850, 30 czerwca 1928 — 2,863.049. Ilość wypożyczeń w ciągu roku szkolnego: 10,360.338. Szkół powszechnych było w tym roku 25.149, a więc już tylko 2.851 szkół nie miało bibljotek szkolnych.

3) Szkoły średnie w r. szk. 1926/27 wykazują na 784 szkół i 213.277 uczniów: 1.382 bibljotek i 1,814.689 dzieł. Cyfry te dzielą się następująco: bibljotek nauczycielskich 591, a w nich 787,881 dzieł, bibljotek uczniowskich 605, a w nich 658.127 dzieł, bibljotek ogólnych 186, a w nich 368.681 dzieł. W r. szk. 1926/27 było 1,631.747 wypożyczeń.

Statystyk szkół zawodowych nie posiadam.

4) Bibljotek żołnierskich ma Polska 1.127, a w nich 391.775 tomów i 514.795 wypożyczeń.

5) Bibljotek więziennych mamy 152, a w nich 65.159 książek.

6) Znacznie trudniej dać wyczerpujący obraz bibljotek, należących do samorządu i do towarzystw społecznych. Tu cyfry nie zawsze będą pełne.

A) Towarzystwa, należące do Zjednoczenia Polskich Towarzystw Oświatowych, a więc: Towarzystwo Szkoły Ludowej, Polska Macierz Szkolna warszawska, wileńska, gdańska i cieszyńska, Towarzystwo Czytelń Ludowych, Towarzystwo im. Piotra Skargi, Towarzystwo opieki kulturalnej nad Polakami poza granicami, miały razem w 1925 r. 2.831 bibljotek i 663.568 książek, a w r. 1928 — 4.173 bibljotek, 1,170.586 książek i 183.995 czytelników. Ilość wypożyczonych książek wynosiła: w r. 1926 — 1,982.046, w r. 1927 — 2,520.073, w r. 1928 — 2,665.571.

B) Na Śląsku od r. 1922 ilość bibljotek i książek rosła imponująco:

Było ich:	w 1922 r.	176 bibljotek	28.550 dzieł
	w 1928 r.	1.138 „	146.863 „

Z powyższych bibljotek należy: 80 do Macierzy Szkolnej Cieszyńskiej, 288 do Tow. Czytelń Ludowych w Poznaniu, 183 do Związku Śląskich kół śpiewaczych, 150 do Sekcji Teatrów Ludowych woj. śląskiego, 188 do Śląskiego Związku młodzieży polskiej męskiej i żeńskiej, 14 do Tow. Uniwersytetu Robotniczego (TUR).

C) Zjednoczenie Młodzieży Polskiej w Poznaniu na 125.643 członków: w r. 1925 — 113.544 książek, w r. 1928 — 244.844 książek. Ilości bibljotek Zjednoczenie nie podaje, oceniać je trzeba na mniej więcej 1.500.

D) Związek Młodzieży przy Małopolskiem Tow. Rolniczem wykazuje 862 bibljoteki i 79.540 tomów.

Związek Młodzieży wiejskiej w Warszawie miał w 6 województwach (lwowskie, łódzkie, lubelskie, nowogrodzkie, warszawskie i kieleckie) 37 okręgów, 746 kół, a w nich ponad 300 bibljotek.

E) Związek Młodych Polek w Poznaniu ma 116 bibljotek.

Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek wykazuje bibljotek w r. 1918 — 6, 1928 — 178.

Narodowa Organizacja Kobiet ma 39 bibljotek.

Liga Kobiet Polskich ma 9 bibljotek.

Dom Nauczycielek w Krakowie ma 1 bibljotekę, a w niej 9. 807 tomów.

Katolicki Związek Polek w Krakowie 7.700 tomów w 1 bibljotece, w Wilnie ma bibljotekę, w Warszawie 5 bibljotek i 9.000 tomów, w Poznaniu 80 bibljotek i 17.393 tomów.

F) Centralne Towarzystwo Rolnicze miało w 11 województwach bibljotek: w r.1925—158, w r.1928—595.

G) Instytut Oświaty i Kultury im. Staszica wykonał zamówień na 1343 bibljotek i 93.146 książek, w tem 94 bibl. dla samorządu, 518 dla kółek rolniczych, 143 dla szkół rolniczych, 135 dla szkół powszechnych, 13 dla kół młodzieży, 9 dla związku strzeleckiego, 431 dla innych.

Centralny Związek Kółek Rolniczych i młodzieży wiejskiej skompletował w latach od 1923 do 1929 r. — 445 bibljotek, z tego w latach 1927/28 — 278, 1928/29 — 65. Z tej liczby 43 dla kółek rolniczych, 117 dla kół młodzieży, 90 dla Sejmików, 93 dla Okręg. i wojew. Związków Kółek Rolniczych,

H) Czerwony Krzyż, okręg warszawski miał w r. 1928 — 3.854 czytelników 11.513 dzieł, 55.697 wypożyczeń. Inne oddziały Czerwonego Krzyża nie podają szczegółów swej pracy na tem polu. Polski Biały Krzyż wykazuje 68 bibljotek świetlicowych dla żołnierzy, a w nich 16,485 książek i 7.587 czytelników.

I) Związek Obrony Kresów Zachodnich wysłał za granicę w latach 1927 — 33.248, w r. 1928 — 45.065 książek.

J) Tow. „Kultura“ w Wilnie ma 303 kół (prowadzi akcję bibljoteczną, ale liczb bliższych nie podaje). Tak samo Rodzina Wojskowa, która ma 24 sekcje kulturalno-oświatowe.

K) Tow. Bibljotek powszechnych w Warszawie liczyło w r. 1927 — 25 bibljotek i 103.004 tomów, a 284.457 wypożyczeń, a w r. 1928 — 25 bibljotek, 91.300 tomów, 11.906 czytelników i 511.570 wypożyczeń. Kursy dla dorosłych w Warszawie mają w r. 1928 — 14 bibljotek ogniskowych, 163 czytelników, 7.603 tomów.

L) Tow. Bibljotek dla dzieci w Warszawie ma w r. 1928 — 5 bibljotek i 2.182 tomów.

Ł) Związek Strzelecki wykazuje w r. 1927 — 118 bibljotek i 17.000 książek, w r. 1928 — 231 bibljotek i 33.844 książek.

M) T. U. R. ma 86 bibljotek stałych i 19 bibljotek ruchomych.

N) Związek Zawodowy Pracowników Kolejowych ma 50 bibljotek, a w nich 51.567 tomów, 6.440 czytelników, 167,779 wypożyczeń.

O) Towarzystwa Rzemieślnicze mają 68 bibljotek ruchomych i 6450 tomów.

P) Powiatowe samorządy w r. 1927/28 wykazują 127 bibljotek stałych i 455 bibljotek ruchomych, a w nich 78.343 książek. W tym samym roku samorządy powiatowe dały 82.755 zł. subwencji dla bibljotek i czytelń społecznych.

R) Policja wykazuje 236 bibljotek, 150.669 tomów, 11.152 czytelników z policji i 13.275 czytelników z poza policji. Korpus Ochrony Pogranicza miał: w r. 1925 — 314 bibljotek i 20.510 książek, a w r. 1928 — 531 bibljotek i 56.052 kiążek.

S) Wydział Oświaty pozaszkolnej wydał na bibljoteki i czytelnie w latach od 1925 do 1928/29 — 75.456 zł., a w latach 1919 — 1929 zasilił: bibljoteki wędrowne 6.076 dziełami, publiczne 13.284 dziełami, powiatowe 17.209 dziełami, powszechne 51.321 dziełami.

T) W końcu trzebaby wymienić całe mnóstwo pojedyńczych bibljotek takich zrzeszeń, jak kółka Rolnicze, Sokół, Kasyna urzędnicze, związki zawodowe, i t. d. oraz wszystkie bibljoteki zrzeszeń niepolskich, a więc żydowskich, niemieckich, ruskich i t. d. Jest ich w Polsce nie mało, ale ogólniejszej ich rejestracji niema zupełnie. Wyliczać cyfry pojedyńcze, przygodnie znane nie podobna. Nie będzie tych bibljotek chyba mniej, niż 3 — 4.000.

Wszystkie powyższe szczegółowo wyliczone typy bibljotek dadzą się sprowadzieć do trzech grup: 1) bibljoteki naukowe, 3) bibljoteki szkolne i wojskowe, 3) bibljoteki społeczne i zawodowe. Obliczając każdą grupę zosobna dojdziemy do cyfr następujących:

Ad 1/451 bibljotek, 8.000.000 książek.
Ad 2/25.000 bibljotek, 5.500.000 książek.
Ad 3/11.000 bibljotek, 3.000.000 książek.

Razem około 36.500 bibljotek i 16.500.000 książek. Z tej liczby instytucje społeczne mają około 8.500 bibljotek, 2.000.000 książek, 360.000 czytelników, 5.000.000 wypożyczeń.

Dodajmy do tego owe 3 — 4.000 bibljotek z punktu T), nieobjętych powyższą rejestracją, a dojdziemy do cyfry 40.000 bibljotek w Polsce.

Ogólnie trzeba ocenić liczbę korzystających z bibljotek w Polsce na 1.800.000 — 2000.000 osób, z tego młodzież na 1.300,000, a więc korzysta w Polsce z bibljotek okrągło 6% ludności. Procent — nawet w porównaniu z zagranicą — poważny. Wysiłek polskich towarzystw oświatowych na polu propagandy książki jest poprostu imponujący. A większość ich — to towarzystwa o wyraźnym charakterze katolickim i narodowym.

STANISŁAW RYMAR

WYSPIAŃSKI A WAGNER

Konrad: „A z tego nareszcie widzisz żem artysta".
(„Wyzwolenie")

III

WYSPIAŃSKI ożywia w „Weselu", „Akropolis" i „Nocy Listopadowej" i wprowadza na scenę postaci z obrazów oraz posągi. We wstępie do „Wesela", w opisie dekoracji zaznacza, że w chacie pana Włodzimierzą wisi w świetlicy nad biurkiem fotografja matejkowskiego „Wernyhory". Postać ta zstępuje — że użyjemy tu słów Wagnera — „z wąskiej ramy" obrazu i wcielona w aktora, uczestniczy w akcji jako „osoba dramatu". Poeta pospołu z aktorem wyzwala ją z więzów sztuki malarskiej, przezwycięża jej bezwład i daje jej życie.

Są jeszcze w chacie pana Włodzimierza dwa obrazy, wpływające na akcję i nastrój dramatu, lecz w sposób odmienny: matejkowskie „Racławice" i „Matka Boska Częstochowska". „Racławice" działają ideą powstania narodowego i walki chłopów polskich o niepodległość. Pijani weselnicy, którzy składają kosy na rozkaz chochoła i tańczą w takt jego muzyki, są tragicznym kontrastem racławickiego kosyniera. Matka Boska Częstochowska „w koronie królowej Polski" przenosi się w wyobraźni gospodarza na Wawel i tam „na zamkowym tronie siedząca, manifest pisze — skrypt, co przez cały kraj poleci — i tysiące obudzi i wznieci".

Symboliczna postać „chochoła" tłumaczy się przedewszystkiem „dramatem gruntu, na którym wypadki się odbywają". Chochoł należy do gruntu, terenu zdarzeń i akcji „Wesela", jako że jest wiechciem słomy, okrywającym różę, która rośnie przed chatą pana Włodzimierza. Lecz chochoł ma zarazem odpowiednik w twórczości malarskiej Wyspiańskiego, w obrazie „Taniec chochołów na plantach", który powstał o wiele wcześniej aniżeli „Wesele". Chochoł z dramatu jest znakomitym przykładem jak poezja i teatr rozwinęły myśl i spotęgowały nastrój obrazu.

*

Przejdźmy do „Akropolis".

Z gobelinu, zawieszonego w Katedrze Wawelskiej nad arkadami, zstępują na scenę Hektor i Priam z królewską rodziną, wplatając w dramat Wawelu i świątyni tragiczny motyw doli Iljonu [1]). Z gobelinów przedstawiających historję Jakóba, zstępuje na schody katedry siedem postaci biblijnych, pasterze i aniołowie. Sztuka aktorska daje im życie i przeszłość przeistacza w obecność.

W akcie pierwszym i czwartym dwanaście posągów porzuca postawę monumentalną i odgrywa dramat polskiej „Akropolis". Naprzód czterej aniołowie o północy „w momencie czaru" — ożyli i zdjęli z bark trumnę św. Stanisława. Ileż to lat pełnili przeznaczenie, jakie im narzucił rzeźbiarz, „pan, stwórca i kat". Młodzi, piękni, jakby stworzeni do życia, czynu i miłości, musieli dźwigać trumnę — symbol śmierci.

Lecz nadeszła krótka noc wyzwolenia:

Anioł I: „Czujesz już w rękach moc? Że w srebro ciała płynie krew"?

Anioł II: „Czuję jak płynie"...

Anioł I: „Mam wolę; rosnę jako lew".

Anioł III: „Wskrzeszę ducha w godzinie — krew płynie, siła, siła"!

Anioł IV: „Noc prysła i wyzwoliła. Jestem jak spiż i żywy"!

Aniołowie budzą Niewiastę z pomnika Ankwicza. „Czego ty płaczesz?" — pyta Anioł I. A ona odpowiada: „Płacz ten we mnie zaklęto i uznano mnie świętą w płaczu moim i żalu".

---

[1]) Kojarzenie losu Polski z Troją, będące u Wyspiańskiego wprost nałogiem ideowym i artystycznym, sprecyzowało się w zestawieniu: Wawel — Troja. Przed Wyspiańskim K. Ujejski w pięknym urywku p. t. „Konfederat" łączył wspomnienie Baru z Troją. Przytaczamy odpowiednie ustępy:

„Witaj moja jutrzenko — moja i narodu. Konfederacjo barska! — Z twojego powodu — ja starzec, dziś wiośniane czuję blaski — A nad narodem dotąd drży twój promień łaski... Wieku olbrzymich przygód, wieku homerowy! — Kiedy my kładli nasze skrawione tułowy — I ciałka drobnych dzieci i żon piersi mleczne — Jak głazy nieruchome na mury forteczne... — My walczyli prostotą, prawdą staroświecką — Z bezlitosną przemocą, chciwą zdradą grecką — I z zarazą, przed którą nie uchroni zbroja — O Chryste! tak legła nasza święta Troja... Och, wy nam nie złorzeczcie, potomkowie nasi! — Dla was to syny, dla was, z okropnej pożogi — Po gruzach i po trupach my wynieśli — Bogi".

„Nie wyrzekać, nie szlochać, zapomnieć!"—woła Anioł i oto Niewiasta pada w jego ramiona z okrzykiem: „Żyję, kocham"!

Ożył również posąg Amora („Serce bije, pierś dycha"). Tak samo Pani z pomnika Skotnickiego („Płyną strumienie krwi do rąk!"), tak samo Tempus („krew bije do skroni") i Panna z pomnika Sołtyka, która ożywia posąg Włodzimierza Potockiego i rozpala w nim chuć miłosną. Święci się triumf miłosnego pożądania, najsilniejszego instynktu życia, bachicznej niemal jurności. Teatr wyzwolił sztukę rzeźbiarską z klątwy bezwładu i, jakby spełniając marzenie Wagnera, odczarował kamień, przeistaczając go w ciało i krew człowieka.

Wyspiański ożywia jeszcze trzy posągi: Klio, Harfiarza i Chrystusa—Salwatora. Wyrażają one w sposób szeroki i patetyczny zwycięstwo życia nad śmiercią. Triumfalny hymn zmartwychwstania sięga jednak ponad ślepy instynkt życia i ponad radosny zew zmysłów, obudzonych naporem płynącej krwi. Poeta jest tutaj w zgodzie z intencją rzeźbiarza. Klio, Harfiarz i Salwator — ożywieni — spełniają swe artystyczne przeznaczenie. Poezja odkrywa jednak tajemny związek między temi postaciami, a myśl ich pogłębia i rozwija.

W „Nocy Listopadowej" wraca poeta po długiej przerwie do pomysłu kompozycji muzycznej, której plan ogłoszono dopiero po jego śmierci. Projektował uwerturę i szereg jakby programowych poematów symfonicznych. Miały być odegrane w antraktach. Pomysł był szerszy od dawnych „ilustracyj" muzycznych, lecz zgoła niewykonalny, chodziło bowiem o przedstawienie tylko za pomocą muzyki (!) podczas antraktu, kiedy jedna scena się skończy i kurtyna zapadnie, — dalszego przebiegu zdarzeń, wiążących się ze sceną następną. Że był to zamiar zupełnie serjo — dowodem wiele rażących niejasności w tekście dramatycznym „Nocy Listopadowej", które ustępują dopiero wówczas, kiedy czytelnik zapozna się z planem owej kompozycji muzycznej, zawierającym pewne zdarzenia pominięte w dramacie.

Fantastyczność tego projektu odpowiada zresztą ogólnemu charakterowi „Nocy Listopadowej". Ilekroć ją czytam, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wstąpiłem w jakiś przedziwny gmach barokowy, zrodzony z istnej nawałnicy pomysłów i obrazów, które rozsadzają ściany i kłębią się pod stropem jak obłoki, w coraz to nowych a niespodziewanych kształtach. W konstrukcji dramatycznej tego utworu jest w porównaniu n. p. z „Weselem" lub „Akropolis" — duża dowolność. Wyspiański w czasie krótkiego pobytu w Warszawie zwiedzał Łazienki pobieżnie i widział z nich niewiele, to też wyobraźnią dopełniał znajomość terenu. Zasada dramatyczna jedności niejsca w ścisłem słowa znaczeniu, nie jest zachowana. W rezultacie i „dramatyczność gruntu" wyraża się z wielką swobodą. W ożywianiu i wyzwalaniu sztuki plastycznej jest jakby pewna bezprogramowość.

Któreż to posągi i obrazy, zespolone z terenem dramatu, występują w inkarnacji aktorskiej? Jeden tylko „Ares" z przedsionka pałacu Łaziekowskiego odpowiada w sposób ścisły schematowi artystycznego przeobrażenia. Posąg „Polski Odkwitającej" gra rolę podwójną, zlewając się z postacią Joanny i wizją Afrodyty. Satyry z „Teatru Rozmaitości" są zapewne rozwinięciem motywu satyra i fauna, dekorujących park Łazienkowski. Rodowód tak ważnej postaci, jak Pallas, jest niepewny. Czyżby miała się narodzić z fresku w sali balowej, albo z umieszczonej tam płaskorzeźby? Czy może Wyspiański podczas studjów przygotowawczych wyczytał gdzieś, że posąg lub obraz tej bogini zdobił Szkołę Podchorążych?

Alegoryczna statua jesieni z balustrady pałacowej wraz z posągami wyobrażającemi zimę i wiosnę, mogła drogą ideowych i artystycznych asocjacyj wywołać wizję Kory, symbol śmierci narodu, ale zarazem i jego zmartwychwstania. Wyobraźnia poety dopełnia symbolu i rozsnuwa cały mit Kory; na scenie zjawiają się: Demeter, Hymen i orszak weselny. Przybywają jeszcze nowe ogniwa kojarzących się coraz swobodniej wyobrażeń: Kery, Hermes, Łódź Charonowa. Zjawiska te, podobnie jak Niki, nie są właściwie uzasadnione dramatycznością gruntu, ani Łazienek, ani innych miejsc, na których akcja się toczy. Nie z tego terenu wyrosły; zrodziła je fantazja i umiłowanie mitologji greckiej. Jest jednak tendencja wspólna postaciom zespolonym i niezespolonym z terenem: wszystkie one są w stylu i duchu epoki pokolenia, wykształconego na kulturze klasycznej.

Stylizacji mitologicznej, którą posługiwały się tak często literatura i sztuki piękne, groziło od dawna poważne niebezpieczeństwo. Dopóki pojęcia religijne starożytnych były wraz z całą kulturą antyczną źródłem odrodzenia dla społeczeństw znużonych ascetyzmem i dyscypliną średniowiecza, dopóki więc we władcach Olimpu widziano ubóstwienie człowieczeństwa oraz ideał pełnego rozwoju władz ciała i ducha — dopóty mitologja miała wartość żywą i realną. Jako składnik kultury antycznej była potęgą, kształcącą typ renesansowego człowieka, który znajdował w niej nie tylko podnietę do najszerszej ekspansji indywidualizmu, do sławy i heroicznych wysiłków, ale również usprawiedliwienie swych przywar oraz wybryków, wynikających z nadmiaru namiętności i samowoli. Lecz z czasem wpływ mitologji w tym sensie pojętej, zaczął słabnąć. Odrywała się coraz bardziej od życia. Bujne natury Olimpijczyków martwiały w racjonalistycznych alegorjach, które odjęły im w znacznej mierze urok i moc bezpośredniego oddziaływania. Wkońcu stylizacja mitologiczna spadła do roli konwencjonalnej i banalnej ornamentyki, uświęconej nawykiem tradycji.

Wyspiański wiedziony instynktem szczerego artysty, ominął to niebezpieczeństwo, wlewając w owe bóstwa tyle indywidualności i życia, że zatarł niemal doszczętnie ich alegoryczność. Poprzez dramat i scenę dał im największą możność bezpośredniego oddziaływania na widza i słuchacza.

I oto mamy w naszej literaturze zjawisko wcale ciekawe. Stylizacja mitologiczna, przedstawiająca się dawniej, w typowych dla niej epokach, względnie ubogo i szablonowo, rozkwita nagle z początkiem XX stulecia — odrodzona, ale i odmieniona.[2])

*

Już w sprawozdaniach z pierwszego przedstawienia „Nocy Listopadowej" zwrócono uwagę na niezwykłą „malowniczość" postaci mitologicznych; użyjmy określenia ściślejszego — „malarskość" albo właściwego tak rzeźbie jak i malarstwu — „plastyczność".

---

[2]) Czyniono Wyspiańskiemu zarzut: mitologja grecka w „Nocy Listopadowej" jest niewłaściwym anachronizmem. Duchem powstania listopadowego ma być romantyzm. — Zarzut niesłuszny. Pomimo znajomości w tych czasach dzieł Mickiewicza i walki klasyków z romantykami (interesującej nieznaczną część społeczeństwa), klasycyzm był jeszcze naogół panujący. W tej kulturze wyrosło dojrzałe pokolenie 31 r. Na niej kształciła się większość młodzieży. Z powstania wszczętego w noc listopadową, wyniknęła regularna wojna. W takim czasie i w tej atmosferze Pallas w Szkole Podchorążych jest naturalnem zjawiskiem. W Łazienkach mogła się zjawić Demeter, ale nigdy Świtezianka...

Artysta, który operował stale w dziedzinie dwu sztuk, malarstwa i poezji,[3]) oswojony z arkanami dwojakiej twórczości, stosował sposoby i środki jednej w zakresie drugiej. Bardzo znamienny pod tym względem jest jego list do L. Rydla z 3.VII.1897 z okazji malowania obrazu „Skarby Sezamu“:

„Ze „Sezamu“ zaś rozwinę całą serję takich obrazów innych na mniejszą skalę i to będzie mój stały repertoir, w którym wszystko wypowiem, co myślałem i wyobrażałem. To będzie sztuka... Jest gruntownie moja i swojska nasza. To będą i muszą być cuda i dziwy. Dramaty malowane, romanse malowane, poematy malowane i wydziwiane. Nieraz to się aż boję tego, co mi wyobraźnia przyniesie“.

Tu mowa o obrazach. Z większem chyba jeszcze uzasadnieniem mógłby pisać o malowidłach, albo rzeźbach—poetyzowanych i dramatyzowanych. Dla uwydatnienia plastyczności figur dramatycznych posługiwał się często rymowanemi objaśnieniami i wtrącał je nawet w tok akcji. Opisy te oznaczał w druku kursywą. Nie były to jedynie wskazówki dla dekoratora i reżysera; autor pragnął, aby nie tylko widz w teatrze, ale i czytelnik miał jaknajdokładniejszą wizję danej postaci. Taki cel ma np. opis Pallady na wstępie dramatu, apostrofą do czytelnika jest również opis Niki Napoleonidów, którą rzeźbiarz „wstrzymał w locie“ i zaklął w kształt monumentalny, a dopiero poezja i teatr wyzwoliły, rozwinęły jej skrzydła, dały życie i spełniły ujarzmione w rzeźbie przeznaczenie.

W myśl uwag powyższych alegorja mitologiczna poezji Wyspiańskiego będzie bodaj że bliższą alegorji mitologicznej w sztukach plastycznych aniżeli w literaturze. Alegorja jako znacznik pojęciowy, czynnik w zasadzie nie artystyczny, ustępuje w plastyce na plan dalszy, wobec bezpośredniego wrażenia, jakie widzowi daje samo wykonanie postaci. Pytanie: co ona oznacza, jaki jest jej związek z postaciami nie alegorycznemi?— nasuwa się dopiero później. Patrząc np. na obrazy Rubensa, wysławiające w alegorjach mitologicznych Marję de Medicis odczuwamy bezpośrednio piękno ich malarskiego wykonania, podziwiamy kształty, barwy, światło, kompozycję. Tego zadowolenia estetycznego nie jest w stanie osłabić refleksja: czy myśl wyrażona przez alegorję jest trafna, czy boginie sławy, polatujące nad królową, nie są raczej mimowolną ironją wobec jej mało sławnego żywota i t. p. Panegeriki malarskie Rubensa dla Marji de Medicis przez trzy przeszło wieki były źródłem rozkoszy estetycznej i będą, dopóki ząb czasu nie zniszczy malowideł. Ale bóstwa Olimpu, alegoryzujące cnoty i piękność królowej francuskiej w tysiącach rymów, składanych jej w hołdzie, utonęły rychło w toni zapomnienia, a sprawiły to przedewszystkiem: racjonalizm poetyckiej alegorji, jej sztuczność, oschłość i przesada. Rzadko kiedy poezja zdołała uniknąć pod tym względem niebezpieczeństwa, które przezwyciężało naogół tak łatwo malarstwo. To też do tej sztuki sięgał nieraz Wyspiański - poeta po odpowiednie środki ekspresji, ażeby dać czytelnikowi wyobrażenie rzeczy i osób jaknajbardziej zbliżone do bezpośredniego spostrzegania.

Lecz wpływ sztuki plastycznej objawia się u niego jeszcze inaczej. Już nie przez stosowanie jej środków i metody, lecz przez oddziaływanie pewnych, własnych lub cudzych dzieł malarskich czy to treścią pojęciową, czy kompozycją, czy charakterycznym szczegółem albo samym tylko nastrojem — na twórczość literacką [4]). Więc naprzód suggestja dzieł malarskich samego Wyspiańskiego. Tutaj można zauważyć jakby całą skalę zależności—od niemal, że tylko nastrojowych związków np. między obrazami „Moczar“ i „Skarby Sezamu“ a „Legendą“, aż do zupełnie już wyraźnej, programowej kooperacji poety z malarzem, np. w transponowaniu witraży na poetyckie rapsody, albo w plastycznem i poetyckiem ujmowaniu motywu „Apollo-Chrystus“, raz w szkicu rysunkowym, drugi raz w dramacie.

Wiele cennych spostrzeżeń o wpływie obrazów cudzych na kształtowanie się pomysłów i kompozycyj poetyckich Wyspiańskiego zawdzięczamy W. Trojanowskiemu, który zestawił m. in. bardzo trafnie ostatnią scenę „Legjonu“ z obrazem E. Delacroix: „Wirgiljusz i Dante na wodach piekła“ a Mendoga, wjeżdżającego konno do kopuły św. Piotra z plafonowemi malowidłami mistrzów włoskich. Z pośród malarzów polskich oprócz Matejki zasługuje na podkreślenie Jacek Malczewski, którego symbolika zrodziła się z tych samych udręczeń duszy polskiej, co ideologja Wyspiańskiego, a takie obrazy jak „Błędne Koło“ i „Melancholja“ przeniknęły czy to treścią pojęciową, czy nastrojem, do „Fantastów“, „Wesela“ i „Wyzwolenia“ [5]).

W 1910 r. odwiedziłem w Węgrzcach pod Krakowem, dom, w którym Wyspiański mieszkał pod koniec życia. Wpadła mi tam do ręki książka Sizeranne'a o malarstwie angielskiem. Na marginesie ryciny, przedstawiającej „Fortunę“ Burne-Jones'a, zauważyłem notatkę Wyspiańskiego, zapisaną ołówkiem „Krąg Piastów — Skałka“. Była to więc pewna wskazówka, że pomysł jednego z najpiękniejszych obrazów poetyckich kształtował się według tego malowidła. „Fortuna“ olbrzymia postać kobieca w rzymskiej szacie, z wyrazem surowej obojętności na młodem obliczu, toczy ogromne, ciężkie koło. Do jego obręczy są przytroczone trzy nagie postacie: w górze niewolnik, pod nim młodzieńczy król w koronie i z berłem w ręku, pod królem artysta, uwieńczony wawrzynem i zmiażdżony do połowy ciała potężnym gniotem obręczy.

Obraz ten przetwarza się w fantazji poety: „Daleko na wodach Wisły, przysłaniając zamczysko i górę, dobywa się nad roztocz wód ze spienionych fal wstające koło niezmierne — Krąg piastów rodu — a na tym kręgu jak na tęczy — coraz się inny Piast w koronie — u szczytu zjawia na przełęczy — za kręgiem toczy się i tonie“ („Skałka“).

Czytając ten opis i dopełniającą go pieśń wiślanych rusałek, należałoby mieć równocześnie przed oczyma „Fortunę“ Burne-Jones'a. Wówczas okaże się, które szczegóły obrazu przeszły do wizji poetyckiej i jakiemu przekształceniu uległa jego symbolika. Pod względem efektu malarskiego jest „Krąg Piastów“ bodaj szczytem tego, co Wyspiański za pomocą słów osiągnął. Przez wyobrażenie ruchu (Krąg obraca się w Wiśle, jednego Piasta w górę wynosi, drugiego w falach pogrąża), którego przedstawienie przekracza możność sztuki plastycznej, potęguje się piękno wizji.

(dok. nast.) PRZEMYSŁAW MĄCZEWSKI

[3]) Wyspiański przez pewien czas interesował się techniką rzeźbiarską i modelował „Caritas“, „Aniołów Strąconych“ oraz „Zygmunta Starego“.

[4]) Wyłączam stąd jako zagadnienie odrębne i dostatecznie już omówione—ożywianie i dramatyzowanie posągów oraz malowideł.

[5]) „MELANKOLIĘ“ zagram sama“ — mówi Muza do Konrada. Na układ sceny w I akcie „Wyzwolenia“, kiedy Konrad ustawia malowniczą grupę wszystkich polskich stanów, nie bez pywnego wpływu — jak sądzę — było przypomnienie „Polonji“ Styki, zdobiącej główną salę w ratuszu lwowskim.

LIBERUM VETO

Wszechwładztwo powieści. — Jej najnowsze fabrykaty. — Pełne wydanie utworów Rodziewiczówny.—Czego w nich niema i co jest.

TRUDNO byłoby dziś znaleźć u nas kogoś z inteligencji, ktoby nie czytał powieści. Nawet istoty najbezmyślniejsze w całym układzie biologicznym, których dusze zaspokajają swój głód tylko wiadomościami kalotechnicznemi, nawet malowane, półobnażone, o tokach cietrzewiowych marzące, modne kobiety spożywają ogromną ilość tej literatury. To spożycie nie zamyka się w granicach inteligencji. Jeżeli nasz lud wiejski i miejski coś czyta chętnie, to wyłącznie powieści. Sienkiewicz jest żywicielem duchowym wielomiljonowej masy i niekiedy żywicielem jedynym. Zdarzają się wyrobnicy i gospodarze wiejscy, którzy znają jego utwory szczegółowiej, niż najdokładniejszy historyk literatury, a niektórzy są przekonani, że znajomość trylogji Sienkiewiczowskiej jest warunkiem złożenia egzaminu w każdej szkole, nawet technicznej. Powieść godzi się z najpoważniejszemi i najbardziej oddalonemi od niej badaniami naukowemi. Zdawałoby się, że uczony tego rodzaju, co Darwin, powinienby nie znajdować w niej żadnego upodowania. Tymczasem on codziennie poświęcał kilka godzin czytaniu powieści, ale tylko takich, które „dobrze się kończą". Oprócz chęci ustrzeżenia swego umysłu od zamąceń i wstrząśnień, utrzymania go w nastroju spokojnym, sądził on zapewne, że fantazja powinna stwarzać obrazy wesołe, a smutne pozostawić życiu. Odgadnę może trafnie zdanie Darwina, gdy przypuszczę, że do powieściopisarza tragizującego powiedziałby: nie przeczę, że twoje wątki są oryginalne i rozwinięte artystycznie, ale ja nie chcę być przez nie udręczonym. Taki gust ma wielu czytelników, do których i jabym się zaliczał, gdyby mi nie przeszkadzała przyjemność z odczuwania artyzmu utworów, które „źle się kończą".

Jeżeli powieść jest u nas najbardziej rozwiniętą gałęzią literatury, jeżeli jej owocami karmi się największa część masy społecznej, jeżeli ona przenika swym wpływem wszystkie warstwy narodu, to jest potrzebą niezmiernie ważną, ażeby fale tego wielkiego prądu, które wpływają do jego płuc i mają odświeżać jego krew, były czyste i ożywcze. Zasługuje to na tem większą z naszej strony uwagę, że Polska bogactwem talentów powieściowych zajmuje jedno z pierwszych miejsc w literaturze świata. Czy ta potęga jest twórczą i dobroczynną, czy też niszczącą i szkodliwą, to doprawdy jest sprawą większego znaczenia, niż to, czy nasz kraj produkuje złe lub dobre konopie. Od stu lat, a zwłaszcza od epokowego wystąpienia Kraszewskiego, który ze zdumiewającą płodnością dał nam kilkaset tomów utworów znakomitych, za które mu obecne pokolenia z równie zdumiewającą lekkomyślnością wystawiają nagorobny pomnik na cmentarzu literatury, zamiast widzianego ze wszystkich punktów Polski pomnika na najokazalszem miejscu życia, od tego czasu przesunął się długi i wspaniały szereg powieściopisarzów. Po śmierci jednak Sienkiewicza, a wreszcie Reymonta i Żeromskiego miara następnych postaci tego szeregu zmniejszyła się znacznie, w niektórych zaś jednostkach spadła aż do karłowatości i kuglarstwa. Nie piszę tu rozdziału historji piśmiennictwa, przeto nie wymieniam tu tego rodzaju produktów straganowego handlu księgarskiego, poprzestaję tylko na ogólnem stwierdzeniu jego masowej produkcji i małej lub ujemnej wartości. Ogół ludzki łatwiej namówić do głupoty, niż do mądrości. *Unsinn siegt* — głupstwo zwycięża. Większość żyje w pożądaniach jednego dnia, albo nawet jednej chwili. Przeciętny osobnik traktuje literaturę tak, jak wódkę, wizytę w domu publicznym lub grę z szulerami. On wie, że ta przyjemność da mu w skutku stratę, upodlenie albo chorobę, ale na chwilę go rozwesela, upaja lub podrażnia. Lubi przytem nowość. Podryguje w tańcu murzyńskim, słucha dzikiej muzyki, od której uszy puchną, nie dlatego, ażeby doznawał rozkoszy, ale dlatego, że kosztuje czegoś nowego. Na tysiąc kobiet nawet jedna nie zastanawia się nad tem, czy suknia jest ładna, poprzestaje na tem, że jest modna: jutro gdy świeże żurnale przyniosą inny krój, z głębokiem przekonaniem uzna ją za obrzydliwą. Jak w sferze mody, tak w sferze literatury i sztuki rządzi gustami to bezmyślne i bezkrytyczne pragnienie nowości. Na tej powszechnej potrzebie opierają swoje spekulacje zręczni fabrykanci wyrobów „ostatniego krzyku". Jeden wymyśli malowanie obrazów kwadratami, drugi — jako najdoskonalszy wykwit poezji uzna wiersze mocno brzmiące, ale pozbawione sensu, trzeci — muzykę złożoną z samych zgrzytów i rozdźwięków i t. d.

Obecnie powieść weszła w okres psychologji mechanicznej. Dawniejsi autorowie starali się o konsekwentny rozwój charakterów, a jeżeli nawet naginali je do jakiegoś zamiaru artystycznego, nie czynili tego wbrew wszelkiej logice i prawdopodobieństwu. Dzisiejszy „poczytny" powieściopisarz zamiast duszy wstawia w bohatera przyrząd mechaniczny, który zależnie od nakręcenia działa w dowolnym kierunku i wytwarza żadną ciągłością niezwiązane pobudki do najsprzeczniejszych czynów. Ponieważ zaś prasa brukowa podtrzymuje w masie czytelniczej upodobanie do wszystkiego, co stanowi zgniliznę życia, przeto powieściopisarze zastosowali się do tego smaku. Chcąc poznać jednego, najzręczniej rozgrywającego mecze sportu literackiego, przeczytałem kilka jego fabrykatów. Gdyby ktoś na skrawkach papieru napisał potrzebną dla grubego tomu ilość szkiełkowo błyszczących, ostro ciętych frazesów, opatrzonych wykrzyknikami i pytajnikami, gdyby je zmieszał i następnie złożył w tekst trafem, powstałaby taka powieść. Najsroższemi torturami nie możnaby wymusić na krytyku przyznania się, że ją rozumie, tego dokonać są zdolni tylko bezkrytyczni i bezmyślni czytelnicy, którym zapomocą sztuczek stylistycznych można wmówić, że wykaz kursów giełdy zbożowej jest litanją do świętego Paflagona, a karta meldunkowa dyplomem doktorskim.

Na rynek księgarski, zapchany taką tanią, tandetną, błyszczącą galanterją powieściową rzucono pełne wydanie utworów M. Rodziewiczówny. Trzeba było do tego dużej odwagi i wiary, że pstrokate, z jaskrawych wykrawków życia, a raczej z wycinków prasy skandalowej zszyte opowieści nie zaspakajają uczuciowych potrzeb szlachty duchowej społeczeństwa, pragnącej głębokich i czystych wzruszeń, pokazu charakterów silnych i moralnie dostojnych, oddychających górną, bezbakteryjną atmosferą pragnień i dążeń, prześwietlonych promieniami ideałów i że to daje czytelnikom Rodziewiczówna. Od pewnego czasu stała się ona przysłowiowym przeżytkiem dla ćwierćgłówkowych kpiarzów, dla których talenty literackie są jak bedłki, starzejące się szybko, które warto w przejściu kopnąć nogą. Rodziewiczówna — to prośnianka, wreszcie pieczarka, która może kiedyś smakowała, ale dziś robaczywa! Tymczasem ta Rodziewiczówna — to dusza twórcza, bogata, zdrowa, ciągle żywa, kwitnąca oryginalnemi i pięknemi barwami. Niema w niej ani odrobiny cuchnących i drażniących mętów miejsca i czasu, niema kuglarskich sztuczek, sprawiających czytelni-

kowi niespodzianki. Jej powieść — to nie kryjówka nożowców, nie biuro policyjne z zagadkową zbrodnią, nie sala dancingu, w której przy kociej muzyce odbywa się tokowanie cietrzewi i tarło ryb. Jej powieść— to czysta, jasna, ciepła, świetlica, w której rozumna, dobra i dowcipna kobieta opowiada dzieje prawdziwych bohaterów życia, jak djamenty twardych i kryształonych, charakterów bujnych i silnych, którymi burza losu targa, ale złamać ich nie może. Niema między nimi karykatur Hamleta, Don Juana lub Fausta, ani wielkanocnych baranków maślanych, topniejących w tyglach życia, ani wycieńczonych rozpustą tabetyków, paralityków z rozrzedzonym mózgiem, ani wystrojonych i wymalowanych samic, monarchów w królestwie zbytku, próżniactwa, opiumu, gry hazardowej, zimnych ogniów i spekulujących namiętności, wogóle tego wszystkiego, co stanowi uperfumowaną padlinę życia. Cała galerja postaci Rodziewiczówny to natury zdrowe, atletyczne, dęby z korą szorstką, ale z rdzeniem nadzwyczajnie twardym, z których życie może wyciosywać podwaliny i kolumny rodzinne i społeczne. Z pod jej niewieściego pióra nie wychodzi nic zniewieściałego, wszystkie stwarzane przez nią dusze są tęgie, niełamliwe, w najlepszym tego słowa znaczeniu męskie, prawie legendowo wielkie. Nieznajomość powieści Rodziewiczówny jest dla starszych pokoleń grzachem, dla młodszych ogromną szkodą. Czytajcie je, a niewątpliwie doznacie tak głębokich wzruszeń, jakich wam nie dadzą najbardziej reklamowane i najliczniej rozsprzedawane fabrykaty nowe. Te często wysączą wam z ust ślinę, tamte również często z oczu łzy.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

ZMARLI

JÓZEF KAMIŃSKI

ZMARŁY w Warszawie w dn. 6 października r. b. Józef Kamiński urodził się w Warszawie 1862 r. Kształcił się początkowo w stolicy w IV gimnazjum. Wydalony stąd, jako chłopiec nieprawomyślny, dostał się dzięki protekcjom do gimnazjum radomskiego, stąd na ostatnie lata szkoły przeniósł się do Kielc i tutaj otrzymał maturę w r. 1881 jednocześnie z Bolesławem Markowskim i Edwardem Zienkowskim.

Poznałem go osobiście, kiedy był w klasie ósmej, w domu rodziców kolegi Zaleskiego w Sieradowicach w Świętokrzyskiem, oczywiście w pewnej odległości towarzyskiej, byłem bowiem tylko piątoklasistą. Imponował mi dojrzałością swoją, dystynkcją i niepospolitą urodą. Siostra jego, żona lekarza Wigury, mieszkała w Suchedniowie. Zmarła w r. 1928.

Po ukończeniu wydziału prawnego w uniw. warszawskim Kamiński osiadł w stolicy i wkrótce zdobył, jako zdolny adwokat, wzięcie i poważanie. Zetknąłem się z nim w r. 1890 z tytułu należenia do Związku młodzieży polskiej. Był już wtedy jednym z czołowych ludzi w Lidze Polskiej (zreorganizowanej w r. 1893 na Ligę Narodową). Ponieważ pogrążone w marazmie społeczeństwo nie dawało się poruszyć za pomocą rzucanych idej, Liga postanowiła poruszyć je manifestacjami. Pierwsza z nich odbyła się 3 maja 1891 r., w setną rocznicę Konstytucji. Kamiński należał do organizatorów. Aresztowani byli wtedy Roman Dmowski, B. Hirszfeld, St. Kośmiński, T. Ruśkiewicz; niedostali się w ręce policji Jan Popławski główny sprawca, Józef Kamiński i in. Prokurator Turau, który w tej sprawie po paru latach procesu złożył raport carowi, zaczął rzecz od słów:

„Na skutek zebranych dowodów okazuje się, że w końcu ostatniego dziesięciolecia (1880—1890) w polskiem społeczeństwie na nowo ożyły marzenia o odbudowie politycznej niezawisłości i że nawoływania do zerwania z systemem biernej obrony i przejść do czynnej w celu osiągnięcia niepodległości Polski nie pozostały bez skutku".

Tu następuje relacja o broszurze Jeża „Rzecz o obronie czynnej", o tajnem stowarzyszeniu, o Skarbie Narodowym, o proklamacjach, wzywających do święcenia rocznicy, a rozesłanych „po wsiemu priwislenskomu kraju" i t. d.

Odezwa zaś Ligi Narpdowej z 8 grudnia 1899 r. datowana w Warszawie, a odsłaniająca program i dzieje Ligi, pisze o tych czasach:

„Jednocześnie wszakże budziliśmy myśl polityczną innemi środkami i za pomocą odezw, z różnych powodów wydawanych, broszur i pism ulotnych. Ani na chwilę nie ustawała, przeciwnie coraz szersze zataczała kręgi, coraz wyraźniejszy przybierała charakter praca nielegalna nad oświatą ludu, przygotowująca go do działalności politycznej. W tej dobie swego istnienia organizacja nasza znacznie się rozszerzyła".

W r. 1896 Liga powołała do życia stronnictwo. Praca rosła z każdym rokiem, a wszędzie oddawał nieocenione usługi Kamiński, kierując transportami druków, robionych za kordonem i trzymając w ręku nici organizacyjne.

A nie była to rzecz łatwa, gdy niemal wszyscy wybitniejsi byli pod dozorem policji, tak wyzywająco w dodatku poruszonej ujawnieniem się Ligi. Odezwa Ligi głosiła:

„Nie wyrzekamy się żadnych środków działania, które okażą się skutecznemi... Na rosnącem wciąż stronnictwie demokratyczno-narodowem oparta Liga Narodowa po 13-letniej działalności tajnej, w której wyćwiczyliśmy nasze siły, występuje dziś jawnie, wzywając wszystkich, którzy chcą i powinni iść z nami, do wspólnej pracy i do walki... Czujemy się dość silni, ażeby nie zejść z drogi, którąśmy sobie nakreślili. Chcemy nietylko wytrwać na niej, ale iść naprzód, zbliżając się z każdym krokiem do celu naszej pracy, naszych dążeń świadomych, naszej wiary niezachwianej, świętej nadziei wszystkich serc naszych—do Polski jednej, wolnej, niepodległej".

Przytaczam umyślnie dokumenty, aby oświetlić ówczesnem światłem teren oraz warunki pracy Kamińskiego i jego grona.

Liga była organizacją ścisłą i dobrze zakonspirowaną. Posiłkowała się w pracach organizacjami bardziej luźnemi. W Warszawie samej w organizacji Ligi nie było w latach 90-ych więcej ponad 50 osób. Rzadko zdarzały się „wsypy" z transportami (ofiarą ich padł między innymi Ludwik Włodek, zesłany na 3 lata do Wiatki, w r. 1901 Panek Piotr, Sochaczewski Roman, Łazarowicz), a tę ostrożność przypisać należy wielkiej trzeźwości umysłu i zręczności Kamińskiego.

W r. 1901 Komitet krajowy w Warszawie składali: Kamiński, Kazimierz Łazarowicz, Szaniawski, Feliks Godlewski, dr. Męczkowski, Teofil Waligórski, Karol Raczkowski. Kamiński był komisarzem. Jednocześnie z Pankiem, Sochaczewskim i Łazarowiczem aresztowano Kamińskiego, którego tropił szpieg i wskazał. Ale na konfrontacji szpicel cofnął zeznanie swoje, Kamiński bowiem wydał mu się kimś innym, tak zmienił swoją maskę. Puszczono go, ale długi czas chodził za nim dozór policyjny.

Bardzo ważną datą w życiu stronnictwa D. N. było wkroczenie jego na teren galicyjski. Umożliwił się ten fakt przez nabycie wielkiego dziennika we Lwowie „Słowa Polskiego". Przedsięwzięcie było nietylko ryzykowne dla organizacji pod względem politycznym, ale ciężkie finansowo. Wielka energja Kamińskiego i Łazarowicza przemogła te trudności. Kamiń-

ski rzecz zadecydował. Jego argumenty, a głównie jego wiara, sprawiły, że porzuciłem Warszawę, aby objąć „Słowo Polskie". On zebrał odpowiednie fundusze, dokładając swoich. Objęliśmy ten dziennik od 1 marca 1902 r., a w następnym roku trzeba już było ogłosić program stronnictwa Dem.-Nar. na zabór austrjacki, wkrótce mieliśmy klub parlamentarny i wypłynęliśmy na wody polityki jawnej, mającej już bezpośredni wpływ na bieg dalszych wypadków na terenie sprawy polskiej.

Odtąd Lwów z całą prowincją, wciągnięty w orbitę myśli politycznej, wysunął się na czoło ognisk polskich i spełnić mógł po wojnie tak bohatersko misję bastjonu narodowego. Zaprzeczyliśmy Austrji i Niemcom prawa robienia tam polityki ukraińsko-separacyjnej. Zamach majowy 1926 r. na to był potrzebny, aby tę politykę tam przywrócić. Więc znowu w grę weszło „Słowo Polskie", przefrymarczone przez paskarzy powojennych w ręce „sanacji" i użyte do niszczenia tego, co z takim wysiłkiem zrobili Kamińscy i jego pokolenie.

Ręka odmawia posłuszeństwa, gdy przychodzi w życiorysie Kamińskiego kolej na jego chorobę. W r. 1910 utracił władzę w nogach i znieruchomiał— on, człowiek tak ruchliwy, sprężyna organizacji! Pomimo że płonął duchem, to jednak bezwład ciała potrochu wycofywał go z życia. Kilkanaście lat ostatnich widywał tylko najbliższych przyjaciół, a przez okno mury miejskie. Jedno tylko w tych warunkach było radosne— to współżycie z żoną, która potrafiła wytworzyć koło niego świat samowystarczalny. Był to budujący widok, że ludzie kulturalni mają moc stwarzania sobie świata według woli. Zawsze widziało się ich wesołych, gdy byli razem. Można było usłyszeć od niego skargę, gdy nie było żony w pokoju, ale gdy wchodziła, mąż miał uśmiech w oczach, a na ustach słowo figlarne. Tajemnicą miłości jest, że rośnie w miarę nakładów poświęcenia.

Obraz, który Kamiński zostawia po sobie w naszych sercach, ma koloryt ciepła słonecznego. Promieniował do końca miłością — tak samo w stosunkach osobistych, jak dawniej w pracy publicznej. Bo też praca nasza tylko takie jednostki dobywała na wyżyny, które stać było na miłość. Ta bowiem jest podstawą twórczości narodowej.

Z. W.

WYCHOWANIE NARODOWE

ODPOWIEDŹ

Od p. Jana Zamorskiego otrzymujemy z prośbą o zamieszczenie artykuł następujący:

JEDEN z moich artykułów w tej rubryce wywołał rzeczowe sprostowanie p. Józefa Sukulskiego, umiarkowane w formie, chociaż twarde w treści. Uradowało mnie ono z dwóch przyczyn: 1) że jest dowodem zainteresowania się tą sprawą, a o to mi właśnie chodziło, 2) że jest poprawne o formie, co w dzisiejszych czasach zjadliwej polemiki zasługuje na podniesienie i uznanie.

Luźne moje artykuły z dziedziny wychowania publicznego miały za cel wywołanie dyskusji, a skoro pojawiło się sprostowanie p. Sykulskiego, wolno mi się cieszyć, iż się do tego celu zbliżam, a więc nie na darmo psuję papier i tracę czas. Mógłbym zatem podziękować p. Sykulskiemu za udział w dyskusji, poprzestać na tem, zwłaszcza, że zasadnicze moje twierdzenie o kosztowności korzystania z uniwersytetu, zostało tylko potwierdzone. Pisze bowiem wyraźnie Szanowny oponent, iż „za wielkie opłaty muszą ponosić studenci wyższych uczelni, szczególnie za egzaminy". Niczego więcej nie chciałem wykazywać ani dowodzić, prócz tego, że korzystanie z uniwersytetów jest zbyt drogie, a więc dla uboższych utrudnione lub niedostępne, i że to jest sprzeczne z wyraźnem postanowieniem konstytucji o bezpłatność nauki.

Przy takiej zgodności zasadniczego twierdzenia dyskusja mogła była potoczyć się w kierunku pytań, co robić, jak urządzenia zmienić, ażeby postanowienia konstytucji uzgodnić ze stanem faktycznym na wyższych uczelniach, lub też odwrotnie.

P. Sykulski wymówił się jednak od „szerszego rozwinięcia" „całego szeregu zagadnień organizacji naszych wyższych uczelni", a poprzestał na wykazaniu mi wielu nieścisłości tak w rzeczach jak nawet w wyrazach. I miał zadanie łatwe, a ja przewidziałem i tę możliwość, bom się wyraźnie zastrzegł, że praktyki wewnętrznej, wykonywania urządzeń w codziennem życiu na dzisiejszych wszechnicach nie znam. Bardzo jestem zobowiązany za to, że mi to zaznajomienie się p. Sykulski ułatwia, chociaż rzeczy samej, zagadnieniu przezemnie poruszonemu, to nie pomaga, a dyskusji naprzód nie posuwa.

Z tej chęci prostowania wszystkiego, nawet języka, doszedł p. Sykulski do tego, iż w krótkim artykule zaledwie 60 wierszowym popadł prawie w sprzeczność sam z sobą. Pisze bowiem w 30 wierszu „...te dwa wydziały... kształcą tylko w kierunku naukowym, nie bacząc zupełnie na przyszły nauczycielski zawód słuchacza"... w 55 wierszu „profesorowie wykładają szerzej taki właśnie materjał, jaki student musi przerobić do egzaminu"... i sam przyzna, że chociaż w ostatniem zdaniu osłabia tę sprzeczność wyrazem „często", to jednak osłabienie to nie usuwa jej całkowicie, ponieważ w zdaniu poprzedniem zastrzegł się przeciwko utylitaryzmowi egzaminowemu przez wyrazy: „tylko" i „nie bacząc zupełnie". I gdybym chciał czepiać się wyrazów, miałbym nawet w tem krótkiem sprostowaniu dość szerokie pole do popisu, ale mnie nie chodzi o satysfakcję pisania, ani uczonego, ani złośliwego — bo wogóle o żadną satysfakcję mi nie chodzi, tylko o poruszenie bolączki, ażeby przyczynić się do jej usunięcia. A studjowanie na wyższych uczelniach jest kosztowne, p. Sykulski tego nie zaprzecza — i w imieniu mas spauparyzowanych wartoby pomyśleć o zmniejszeniu lub całkowitem usunięciu tych kosztów dla młodzieży, ustawowo na tę ulgę zasługującej. I to tylko chciałbym powiedzieć.

Prostowanie wyrazów u człowieka, nieznającego praktycznie dzisiejszego ustroju wszechnicy (co sam wyraźnie zaznaczył) jest rzeczą łatwą. Użyłem np. wyrazu: „wykład" w przedwojennem studenckiem znaczeniu. Za moich czasów niektórzy tylko profesorowie prowadzili seminarja i prace w laboratorjach, a i te były bezpłatne dla słuchaczów, uwolnionych od czesnego. Wielka liczba ograniczała się do samych wykładów, inni przeprowadzali ćwiczenia podczas wykładów. Wyjaśnię to przykładem: Słuchałem archeologji u śp. prof. Łepkowskiego, z jego polecenia katalogowałem zbiory, oraz pisałem objaśnienia na fotografjach zabytków. Była to według dzisiejszych pojęć praca specyficznie seminaryjna czy nawet laboratoryjna, a przecież nie miała osobnego tytułu w indeksie i była prowadzona przeważnie poza godzinami oficjalnych wykładów. Ze ś. p. Marjanem Sokołowskim, historykiem sztuk pięknych, zwiedzaliśmy zabytki Krakowa, a te ćwiczenia praktyczne, jako też prace przez nas pisane i w godzinach wykładów odczytywane, nie miały osobnych tytułów. Rozmaite takie zajęcia, obok

prelekcji profesora, nazywały się u nas wspólnem mianem: wykłady. Zastrzegłszy się zgóry, że dzisiejszych urządzeń w praktyce nie znam, użyłem wyrazu „wykład“ w tem przestarzałem studenckiem znaczeniu.

A p. Sykulski z triumfem woła: „Za wykłady się nie płaci, w czesnem niema takiej pozycji“. Przewidziałem to w swoim artykule, kiedy pisałem, że „rubryki: zapłata za naukę niema“. Ale płaci się pod innemi tytułami. I w artykule wyraźnie mówiłem, że chodzi mi, ażeby tych opłat pod innemi tytułami nie było dla ubogich, na względy zasługujących.

Prawda! P. Sykulski stwierdza, że studenci bywają uwalniani od czesnego, że zwraca się egzaminacyjne opłaty tym słuchaczom, którzy złożyli egzamin na „dobrze“ lub „bardzo dobrze“. Co do tych zwrotów pragnąłbym, żeby studenci zabrali głos, bo nie radbym sam mówić rzeczy przykrych i niekulturalnych, chociaż wiele ich słyszałem.

A co się tyczy uwolnień, to one nie są określone ustawą, tylko zależą od różnych względów profesorów (nie używam wyrazu: grupy, kolegjum i t. d., ażeby za nieścisłość nie uledz sprostowaniu, a niewiem w jakich kompletach załatwia się te sprawy i jak się te komplety dziś nazywają). I akcentowałem to bardzo wyraźnie we wszystkich artykułach, że uwalnianie od opłat na podstawie zasługi i prawa uważam za sposób szanujący i wyrabiający godność osobistą ucznia, gdy tymczasem uwalnianie na podstawie łaski czy innych względów uważam za poniżającą godność jałmużnę. O odraczaniu opłat w formie obciążania długiem przyszłej pensji głodomorskiej początkującego urzędnika pisałem jako o ciężarze, a p. Sykulski prostuje „odracza się uiszczenie na kilka lat“ i dodaje p. „nie jest więc z nimi tak źle“. Jest to rzecz gustu i osobistej zamożności, ale mnie wolno myśleć, iż obciążenie najniższej płacy początkującego funkcjonarjusza przez uniwersyteckie długi jest wielkim ciężarem i wolno mi pytać, czyby się to nie dało zmienić. I najciekawsza rzecz: p. Sykulski przyznaje, że musi się płacić, że temu, kto zapłacić nie może, odracza się opłartę w formie długu i nie chce zrozumieć, że ten stan Azeczy jest sprzeczny z postanowieniem konstytucji. ja właśnie na to głównie biłem i sens wszystkich moich artykułów był ten: albo zmienić konstytucję, albo zmienić stan faktyczny w szkołach. P. Sykulski stwierdza rozbieżność między stanem rzeczy faktycznym i postanowieniem konstytucji i uważa za potrzebne osłabić wołanie o uzgodnienie ustawy i życia przez prostowanie drobiazgów, a nawet wyrazów.

Nie zrozumiał np. zupełnie mojego twierdzenia, że wskutek zaprowadzenia mnóstwa egzaminów fakultet filozoficzny (t. j. humanistyczny i matematyczno-przyrodniczy) zamienia się na seminarjum nauczycielskie, zamiast być instytucją szerzącą naukę. Wiem, że profesorowie traktują „szeroko pewną małą gałąź wiedzy“ tak czasami małą, że zamiast o literaturę pytają o dzienniki i tygodniki w pewnej epoce, tudzież o liczbę numerów, jakie się z każdego pisma pojawiły, a nawet o ilość stron we wszystkich wydanych numerach razem. Przyznaję, że to jest bardzo „szeroko traktowana“ bardzo „mała gałąź wiedzy“. Ale mnie chodziło o to, że zaprowadzenie mnóstwa egzaminów (sam p. Sykulski liczy ich 10 na wydziale matematyczno-przyrodniczym) nie pozwala studentowi na rozpraszanie się poza dyscypliny do egzaminu konieczne. Nie twierdziłem, jakoby profesorowie nie grzęźli w szczególikach, które czasami są bardzo ważne dla ścisłej nauki — zwracałem uwagę na to, że student, przygotowujący się ciągle do jakiegoś egzaminu nie ma czasu ani głowy na korzystanie z czegokolwiek, co nie należy ściśle do jego *pensum* na najbliższe miesiące czy tygodnie. Nie z woli profesorów, lecz wskutek złej organizacji z woli studentów, fakultety filozoficzne zamieniają się na fałszywe seminarja nauczycielskie. Takie było moje twierdzenie.

Jest w tem sprostowaniu zanadto wielkie czepianie się szczegółów i zanadto wiele drobiazgów prostowanych, ażeby nie przepuszczać, iż celem było zasypanie myśli głównej przez tuman szczegółów. To podejrzenie nasuma mi się bardzo natrętnie przy jednym szczególe: p. Sykulski prostuje nawet użyty przezemnie wyraz: „magisterstwo“ na „magisterjum“. Jestem człowiekiem już starszym i nie nadążam już za nowemi odkryciami językowemi. Nie piszę np. „czrzoda“ zamiast „trzoda“, ani „czrzemcha“ lub „czrześnia“ zamiast strzemcha lub trześnia, co ma być *le dernier cri* najnowszej gramatyki polskiej. Trzymam się przestarzałego systemu i semazjologji, w którym przed kilkudziesięciu laty uzyskałem wszystkie możliwe dyplomy fachowości.

Otóż według starego poczucia językowego niektóre wyrazy miewały dwa zakończenia, z których każde oddawało inny odcień znaczenia. I tak: „ministerstwo“ znaczyło urząd, władzę, instytucję — „ministerjum“ kierunek nadawany tej instytucji przez wykonawcę władzy czy urzędu. Pisaliśmy więc apelację, zażalenia i prośby do „ministerstwa“, ale zaznaczaliśmy kierunek nadawany tej władzy przez mówienie: „ministerjum Guizota“, „ministerjum Witosa“ czy „ministerjum Bartla“. I my starzy nigdyśmy tych wyrazów nie mieszali. Ponieważ w zaprowadzonym na uniwersytetach stopniu magistra chodziło mi o tytuł, instytucję, nazwałem go magisterstwem. Gdyby to był urząd, to na oznaczenie sposobu pełnienia tego urzędu, użyłbym wyrazu: magisterjum.

Ale nie o tem była mowa. Chodziło o to, czy żądanie od studentów rozmaitych opłat jest zgodne z konstytucją, a jeżeli nie, jak uzgodnić praktykę życia z ustawą — oraz o to, czy wymiar, sposób nakładania i ściągania tych opłat utrudniają lub nawet uniemożliwiają naukę ludziom ubogim, a jeżeli tak, to co zrobić, by te utrudnienia usunąć.

JAN ZAMORSKI

NAUKA I LITERATURA

PAMIĘCI SZYMONOWICZA

W KOŃCU września zebrało się w cichym Zamościu grono wybitnych polonistów, by uczcić pamięć znakomitego poety późnego renesansu polskiego, Szymona Szymonowicza. Od jego śmierci w ustronnym Czernięcinie nad Purem upłynęło właśnie lat trzysta.

Komitet miejscowy, z dyrektorem gimnazjum Lewickim na czele, uczynił wszysto, by uroczystość wypadła imponująco. Urządził wystawę pamiątek, zawiadomił mieszkańców miasta o rocznicy, przyozdobił ulice i place. Otworzył obchód solenne nabożeństwo w zamojskiej kolegjacie, na którem pojawili się dostojnicy duchowni i świeccy oraz profesorowie ze Lwowa, Lublina i Poznania w barwnych togach.

Główna uroczystość odbyła się w prastarym dziedzińcu akademji zamojskiej. Górował nad zebranymi na tle wspaniałej dekoracji, portret hetmana Zamoyskiego. Charakterystykę jego poety dał, w mowie inauguracyjnej, podpisany, podkreślając erudycję, religijność, patrjotyzm, miłość natury i ludu u autora wiekopomnych sielanek. Nie zaniedbał wskazać na jego miłość wolności i praworządności, czego dowodzi jego poemat polityczny, ogłoszony w czasie burzy rokoszowej.

W godzinach popołudniowych nastąpiły inne przemówienia, którym przysłuchiwała się liczna publiczność.

W drugim dniu zjazdu odwiedzili goście zamojscy uroczy Klemensów, gdzie podejmowała ich ordynatowa, oraz Czernięcin, gdzie we dworze pełnym wspomnień, na tle zielonych łąk nad Purem, odegrały dzieci jedną z sielanek, a gościnni gospodarstwo przyjmowali przybyłych w sposób nader serdeczny. Pokłosie naukowe i artystyczne zjazdu jest imponujące. Uwagę zwraca przedewszystkiem doskonała broszura polonistki Królińskiej o poecie. Stoi ta rzecz na wysokości obecnej wiedzy o nim i może dać też pojęcie o talencie popularyzacyjnym autorki. Ogromna księga zjazdowa zawiera szereg cennych przyczynków do poznania epoki i poety.

Na czele można postawić świetną pracę Łempickiego o mecenasostwie Zamoyskiego. Cechuje ją właściwa temu uczonemu gruntowność i powaga tonu. Inni badacze jak Kot, Kallenbach, Krzyżanowski, Sochaniewicz, dali ważny dorobek dla poznania epoki i jej luminarza. W świetle ich badań Szymonowicz zyskał niezmiernie i może być dziś nazwany następcą a nie naśladowcą Kochanowskiego.

Artystycznym dorobkiem jest teka z siedmiu drzeworytami Tadeusza Cieślewskiego. Wiadomo, że w Polsce rozsławił drzeworyt Skoczylas. Drzeworyty Cieślewskiego odtwarzają cudne zakątki Zamościa, tego grodu dziś prowincjonalnego a pełnego dostojnych wspomnień przeszłości. Artysta odczuł w pełni rodzime piękno grodu hetmańskiego.

Wspaniała fara, śliczny ratusz, podcienia w rynku, zaułki uliczne wywołują wrażenie wizji. Światłocień, nie barwa, wytwarza wrażenie niezapomniane. To też obdarzeni tem pokłosiem goście opuścili gościnne miasto ze świadomością, że dawna siedziba wielkiego hetmana, kanclerza i mecenasa renesansu wraca do dawnego życia.

Żałować wypada, że dyssonansem uroczystości było zachowanie się miejscowego starosty, który głównemu prelegentowi wyraził, osobiście i wobec innych, urzędowe niezadowolenie z powodu jego potępienia polityki Zygmunta III a podkreślenie walorów programu Zamoyskiego i jego poety. Na to nie ważyłby się nawet starosta w czasach niewoli.

W ogólności zjazd zamknął się wydatnymi wynikami i świadczy o postępie idei regjonalnej a w szczególności polonistyki. Dobrze jest przywiązywać serce do pamiątek miejscowych. Wieje z nich wielkość, która może się przydać ludziom i czasom obecnym.

A polonistyka kroczy też poważnie naprzód. Powiększyła się liczba badaczy, ulepszyły metody, wzrosła gruntowność i ścisłość. Każdy kierunek, a więc historyczny i artystyczny, ma swych zdolnych przedstawicieli. Istnieje nadzieja, że przyszłoroczny zjazd w Krakowie, dla uczczenia czterechsetnej rocznicy urodzin Kochanowskiego zgromadzi tłumy miłośników literatury i cały zastęp starszych i młodszych badaczy. Zamość upamiętnił się jednak owym zjazdem w sposób niezaprzeczenie niezapomniany.

TADEUSZ GRABOWSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem „Zorzy" ukazała się ilustrowana książka znanego pisarza politycznego Stanisława Szczutowskiego pt. „Opoka Piotrowa" (Warz. 1929, str. 118). Daje ona ogólny rzut oka na przeszłość dziejową Kościoła Rzymskiego, o której ogół, nawet katolicki, tak mało dzisiaj pamięta, a z której wyrosła cała cywilizacja współczesna. Ponadto prawie połowa tekstu poświęcona została charakterystyce wzajemnego stosunku Kościoła i Polski w ciągu wieków, oraz pełnemu chwały udziałowi Ojczyzny naszej, jako Przedmurza Chrześcijaństwa, w historycznem dziele katolicyzmu. Opowieść doprowadzona do czasów ostatnich, kończy się zachętą do podjęcia na nowo wielkich zadań polskich i katolickich. Pomimo pozornie okolicznościowego charakteru tej pracy, która nawiązuje do Jubileuszu Ojca Św. Piusa XI, oraz pomimo formy dostępnej dla szerokich kół publiczności, ujęcie dostojnego tematu jest tak pogłębione i nowe, że powinno zaiteresować wszystkie sfery społeczeństwa polskiego. Książka jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Cena 3 zł., na papierze welinowym 4 zł. Skład główny Warszawa, Al. Jerozolimska 17.

•

Praca Dr. Józefa Chałasińskiego o nauce obywatelstwa w szkołach („Nauka obywatelska na poziomie szkoły pow. i niższego gimnazjum". Poznań 1929. Fiszer i Majewski") może zaintererować nietylko pedagogów. Jest to jedna z bardzo nielicznych prób naukowego sprecyzowawania i wyczerpania treści pojęcia „wychowanie obywatelskie", zadań i charakteru tego wychowania, przyczem autor bardzo często odwołuje się do praykładu Stanów Zjednoczonych Am. Półn., gdzie przedmiot ten jest bardzo racjonalnie traktowany już od dość dawna. Sedno tkwi zdaniem p. Ch. w oparciu nauki tej o socjalogję, tak, aby młodzież mogła przejść od pierwotnych form spółżycia do życia społecznego w wielkiem nowoczesne społeczeństwie demokratycznem. Chodzi więc i o wiedzę obywatelską i o wdrożenie zasad i norm współżycia obywatelskiego. Autor zwraca uwagę na czynniki jak organizacja szkoły, życie młodzieży, samorząd szkolny, rożne stowarzyszenia (drużyny harcerskie, sportowe i in.) przyczem należy uwzględnić zarówno formy mające li ćwiczebne jak i te, które posiadają rzeczową wartość. Do cwiczebnych form należy np. w amerykańskich szkołach ułożenie przez uczniów konstytucji szkolnej, zabawa w „miasto", organizacja municypalności i t. d. poznawanie własnego miasta pod kierunkiem nauczycieli, w formie konkursu, kto pozna najlepiej itd. Dr. Ch. akceptując konieczność odpowiedniej wiedzy społecznej (własnej, nabytej przez młodzież drogą doświadczalną, a nietylko „nauczanej" przez nauczyciela) podaje systemetyczny program tej wiedzy w amerykańskich szkłach niższych według stopni (Dom, szkoła i środowisko zabaw, związek rodziny z życiem lokalnej grupy, okrąg szkoły tj. wieś, miasteczko, miasto, wrzeszcie narod) Dalej idą szczegółowo omówione dwa tematy: bogactwo i środki porozumiewania się wreszcie autor z własnej praktyki przytaczą szereg punktów i tematów w tym zakresie, a nawet daje wzór prowadzenia lekcji.

Praca dr. Chałasińskiego daje nietylko nauczycielowi materjał do ręki. Należy zaznaczyć, że i publicysta, zwłaszcza popisują sie do pism ludowych, działacz oświatowy, instruktor powinien mieć na uwadze doskonale ujęte wytyczne nauki obywatelstwa, które najlepiej może uodporniać na wszelkie zakusy demagogji i klasowości.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Edmond Jaloux odtwarza w swej ostatniej powieści „*Loetitia*" (Plon édit.) różne fazy miłości, a przedewszystkiem jej ciekawą ewolucję, gdy po okresie przygotowawczym, a opartym na imaginacji, upiększonym fantazją, przechodzi ona w okres realizacji, kończący się oczywiście rozczarowaniem. Loetitia jest głęboką admiratorką poety Waltera Graul. Zna go jedynie z jego dzieł, ale je ubostwia. Wyobraźnia młodej panny nie próżnuje. Waltera Graul uważa po części za swoją własność. To też, kiedy spotka go w towarzystwie innej kobiety, Loetitia cierpi, jakdyby w rzeczywistości pomiędzy nią a poetą istniały już uprzednio jakiekolwiek więzy. Los sprawi, że dzięki altruizmowi innego mężczyzny, szczerze jej oddanego przyjaciela Jacques, Loetitia nietylko pozna Waltera Graul, ale go nawet poślubi. Jeżeli bowiem marzyła o nim, to on należał do rzędu tych istot, które są ustawicznie w poszukiwaniu kobiety, mającej stanowić uzupełnienie jego samego. Niestety jednakowoż Walter Graul w swej imaginacji stwarza ideał typu kobiecego, jego koncepcji odpowiadający, ale jaki oczywiście daleki od rzeczywistości! Ten dualizm, istniejący pomiędzy naszemi marzeniami a realizmem uczuć musi prowadzić do rozdźwięków. To też Loetitia, stawszy się niewolnicą Waltera Graul, nie interesuje go już zupełnie. Rzuci ją, jak to już często w życiu czynił, w poszukiwaniu swego chimerycznego ideału. Autor dla przeprowadzenia swego tematu, wprowadza do powieści kilka innych typów tej samej kategorji, uwypuklając w ten sposób przepaść, istniejącą pomiędzy fikcją, a rzeczywistością, a równocześnie także konieczność istnienia tej pierwszej, jako elementu twórczego, ale zarazem destruktywnego. Człowiek bowiem, zaślepiony obrazami swej wyobraźni oraz egzaltacją, musi powodować dramaty w duszach istot o mniej rozbujałej imaginacji.

•

Pio Baroja, powieściopisarz hiszpański, którego styl barwny i żywy zdobył sobie licznych czytelników, ogłosił tom „*La senda dolorosa*" (Bolesna ścieżyna), stanowiący dalszy ciąg ogłoszonych już dawniej w cyklu „*Memorias de un hombre de acción*" (Pamiętniki człowieka czynu). Sposób patrzenia autora na świat jest może nieco dziwny, jednakże bardzo ciekawy. Jako doskonały psycholog i zdolny artysta, stwarza charaktery i obrazy żyjące własnem życiem, które choć odrębne od życia realnego, jest niemniej potężne.

SZTUKI PLASTYCZNE

JACEK MALCZEWSKI

WIELKI artysta, umierając, pozostawia świat ducha ludzkiego większym i bogatszym, aniżeli go zastał, a także — młodszym. Albowiem nietylko plon po nim, jako po żniwiarzu, pomnaża się w danym zasieku historji, ale i siew przyszłości, w nim zawarty, jako po siewcy dziwnym zostaje, który, nawet gdy odszedł, długo jeszcze siać będzie i siewem swym życie odmładzać. Dlatego żal po takim umarłym równoważy, jeśli nie przeważa, w ludziach wrażliwych pogoda religijna, niby na widok dzieła dobrego, które właśnie się narodziło.

Jacek Malczewski należy do tego pokolenia, które potężnym rzutem dźwignęło polską sztukę malarską na najwyższy poziom sztuki europejsklej. Nie można go jednak zaliczyć do żadnego z gromadnych prądów artystycznych, wówczas panujących, jakkolwiek tę i ową zasadę od nich, niewątpliwie, przejął. Od początku kroczył sam i drogą własną, a częstokroć wbrew modom i hasłom nagminnym, które go nieraz przed oczyma współczesnych zasłaniały. Był nietylko artystą-malarzem, ale w malarstwie swojem — poetą i myślicielem. Ten zapewne, głębszy, podkład duchowy uchronił go od krańcowych zapędów pleneru i impresjonizmu, kiedy wzrastał i mężniał w okresie ich najświetniejszej chwały i zaborczości.

Podobnie do Chełmońskiego malarstwo swoje zaczął Malczewski od bezbarwności, od tak zwanych „sosów" — bronzowo - czarnych. Lecz, równie jak Chełmoński, pod dobroczynnym wpływem pleneru zdołał otrząsnąć się z przestarzałej, ubogiej manjery i całym rozpędem młodości zdobył świat wielobarwności. Nie poddał się natomiast wadom pleneru, jak np. programowemu niemal lekceważeniu rysunku, kształtu i kompozycji, a wobec ataków impresjonizmu na temat i t. zw. „literaturę" w malarstwie pozostał dumnie osamotniony i niewzruszony. Poeta i myśliciel nie mógł (dla doktryny...) zamienić swoich „Chimer" i „Melancholij" na stragany kwiatów i ryb.

Chimera i melancholja są, bodaj, dwoma najgłębszemi i najbardziej znamiennemi tonami poezji Malczewskiego. Wielki smutek życia, tęsknota, „ból światowy" — i w wyrazie i tematach od początku stale towarzyszą jego twórczości. Życie jako tułactwo, więzienie, kajdany, wygnanie, śmierć, jako wybawczyni, błędne koło przeszłości i przyszłości, ciężkie zadumy i tęsknoty za niewypowiedzianem, a wszędzie wyraz smutku bezdennego i mgła melancholji — oto jeden szereg dzieł wielkiego artysty. Anhelli Słowackiego, Sybir, tragedje powstania styczniowego — stanowią, w części, realne podłoże tego nastroju duchowego. A drugi szereg dzieł — to chimery życia: sztuka i miłość, obie jako dziewy—tygrysice o barwnych skrzydłach i potężnych łapach drapieżnych. W ciągu tego szeregu Malczewski odkrył i stworzył nieznany dotąd w sztuce typ kobiety: złotowłosą o zmysłowych wargach, po-wiejsku tęgą i polskiej rasy heterę, w wyrazie, rysach i kształtach (przy całej jej zmysłowości) typ wysoce szlachetny. Z niej właśnie uczynił symbol miłości i sztuki.

W wartościach swoich czysto artystycznych i technicznych Malczewski zasłynął jako doskonały rysownik i modelator kształtu. Istotnie — na rysunek i bryłę — tak u siebie w pracowni, jak i na profesorskiej katedrze szczególny kładł nacisk. W barwie jest o wiele słabszy. Pomimo wielkiej w tym kierunku pracy, woli i męskiej, spokojnej odwagi kolor jego dzieł zawsze jest chłodny, suchy, czasem aż blaszany. Zdaje się, że obok intelektualizmu pewnego i braku bezpośredniości stanowiło to jeszcze jedną męczarnię twórczą artysty. Pod tym względem istnieje analogja pomiędzy nim a Zygmuntem Krasińskim. Jak Krasiński zazdrościł Słowackiemu swobody i swieżości twórczej, właśnie żywej barwności przedewszystkiem, tak i Malczewski mógł patrzeć a może patrzył z zazdrością na brawurę barwną takiego, naprzykład, kolorysty, jak Fałat lub Wyczółkowski. Można przypuszczać, że i te wady przyrodzone dorzuciły znaczną część wpływu na melancholję artysty. Czuł się na wieki skrępowany, w kajdany zakuty i bacznie a napróżno studjował tajemnicę swych oków, jak to na jednym z obrazów wymownie przedstawił.

Pomimo tych wad Malczewski jest wielkiem i samotnem zjawiskiem w malarstwie polskiem i światowem. Sztuka jego wprowadza widza w kołowrót wysokich napięć powagi życia i jego tragizmu, a w wykonaniu technicznem i w środkach artystycznych zawsze zakłada sobie cele największej doskonałości, bez względu na ogrom trudów i przeszkód, które w samym artyście, lub w warunkach świata plastycznego napotykała. Jeden z samotnych szczytów twórczości polskiej zastygł na wieczność i bedzie rósł w miarę wstecznego pochodu oddalających go lat czasu.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

TEATR

W ROCZNICĘ ŚMIERCI PUŁASKIEGO

PAMIĘCI rycerza Kazimierza Pułaskiego Polska złożyła należny hołd w 150-tą rocznicę śmierci zarówno obchodami w kraju, jak udziałem w obchodach amerykańskich. „Myśl Narodowa" nie może szeroko traktować zdarzeń sposobem sprawozdawczym, ufna że czytelnicy dostatecznie są o nich powiadomieni przez dzienniki. Nie zajmuje się wogóle stroną obrzędową życia, gdzie obchody rocznic grają tak wybitną rolę, poświęciła jednak Pułaskiemu jeszcze w czerwcu (nr. 23) piękne wspomnienie prof. Wł. Konopczyńskiego p. t. „Cieniom Pułaskiego", aby zwrócić uwagę na zapowiedziany obchód i potrzebę pogłębienia w umysłach pamięci historycznej przez studja naukowe.

W rubryce tej wypada podnieść artystyczne wydarzenie: teatr Narodowy przyczynił się do uświetnienia obchodu warszawskiego, wystawiając „Konfederatów Barskich" Adama Mickiewicza. Mickiewicz napisał pod tym tytułem pięcioaktowy dramat w 60 lat po śmierci Pułaskiego, a 90 lat temu, kiedy dociśnięty biedą, upatrzył w teatrze możność zarobkowania. Była to próba sił na polu dramatu. Zachęcało go do niej powodzenie sztuk Wiktora Hugo i starego Dumasa, przy tej sposobności chciał użyć sceny do celów propagandy sprawy polskiej we Francji. Nieszczęście chciało, że Mickiewicz uciekł się do pośrednictwa literatów francuskich, pani Georges Sand i Alfreda de Vigny, a ci powierzonego sobie rękopisu nie dopilnowali i w rezultacie z czeluści teatralnych udało się ocalić tylko dwa akty.

Niegdyś we Lwowie wystawiono ten fragment w przekładzie Olizarowskiego, który też ważył się uzupełnić dramat swemi dwoma aktami. Oczywiście nie było to interesujące. Dobrze się stało, że teatr Naro-

dowy wystawił tylko dwa akty i że zrobił to z pietyzmem w nowym przekładzie Artura Górskiego.

Trudno przytoczyć dzieło inne równie znamienne dla twórcy narodowego, aby dać przykład, jak ściśle może się wiązać psychologja dramatu osobistego z dramatem narodu. Za czasów Mickiewicza dramat samego faktu Barszczyzny nie był przez historyków zbadany i oceniony. I teraz jeszcze krzyżują się zdania historyków, gdy chodzi o odpowiedź, co to właściwie było: czy dalszy ciąg rokoszów szlacheckich, czy początek walki o odrodzenie Polski. Genjusz Mickiewicza z faktów, jakich mu dostarczyła tradycja, ułożył obraz realistyczny, dający odpowiedź trafną: było tam i to i tamto. A w dodatku z wielką przymieszką, jeśli chodzi o Pułaskiego i p. de Choisy — romantyzmu rycerskiego.

Mickiewicz nie znał całej Polski zachodniej. Jakże twórcze byłyby jego uświadomienia polskie, gdyby nie los, który go z Litwy gnał na wschód, a potem na obczyznę, aby niejako z odbicia na niebiosach poznawał Polskę: gdyby w Polsce spędził żywot! Idąc wyobraźnią za Pułaskim, widzi go jak orła, spadającego z Tatr na Polskę, patrzy z gór tych na Kraków i t.p., a to wszystko widzowi dramatu uprzytomnia, jak mało wtedy Polska była znana nawet twórcom tej miary. Dopiero zaczynała się praca nad poznawaniem Polski rzeczowem i uświadamieniem ducha narodowego.

Zasadniczym pierwiastkiem dramatycznym „Konfederatów Barskich“ jest genjalnie wyczuta przez Mickiewicza p o d - ś w i a d o m o ś ć ruchu narodowego. Było coś w tych ruchach koniecznego i dodatniego w sensie odradzania się narodu, ale nijak nie dochodziło to do jasnego stanu świadomości, któraby czyn uregulowała w celowości i uchroniła go od zboczeń. Wstrząsający jest moment w akcie drugim, kiedy Pułaski staje się powolnem narzędziem Wojewody, któremu ani błyśnie w głowie myśl o interesie narodu, w głowie zaburzonej ambicją rodową.

Wielkie bogactwo ducha: czułość, zapalność, bohatrstwo rycerskie, wielka wiara religijna i polot poetycki, a Francuz z wyżyny wyższej cywilizacji, podziwiając to wszystko, powiada:

— Tak, każdy z Was to olbrzym—wiem o tem. Ale razem wzięci tworzycie karła!

Oto dramat. Czegóż brak? Myśli.

Jedyny ratunek w takim stanie, żeby duch się nie rozchwiał, żeby naród ocalał, to wiara. I tu wyrasta postać symboliczna ks. Marka. On jeden zdolny uczynić z tej masy jedno ciało duchem natchnione — nikt więcej:

— Na kolana! Błogosławiona dziewico! — łączą się wszyscy w modlitwie — Spojrzyj na ten naród pasterski. O b j a w n a m s p o s ó b z b a w i e n i a O j c z y z n y.

Jest to obraz wstrząsający prawdą. Te dwa ocalone akty starczą na obraz historyczny Polski ówczesnej.

Był to moment fermentu cywilizacji polskiej, sięgającego do spodu rasy. Nie mógł się dokonać trybem czysto wewnętrznym, bo Polska nie była w pustce: czyhali na nią sąsiedzi, korzystali z fermentu, „interwenjowali“...

I tu był drugi poziom dramatu. Czy bić się z sobą, czy z wrogiem zewnętrznym? Życie odpowiadało instynktem: bić i z sobą się i z wrogiem. Wszystko jedno — pozostaje tylko walka, choćby tylko ten jeden był jej rezultat: S ł a w a. Może ona pociągnie przyszłe pokolenia, że sprawy dokończą, aby związać dzieje. Inaczej zginiemy bezpotomni.

Bili się tedy Mazurzy. Bo był to ruch mazurski, wkupujący ten szczep do sławnych dziejów dawnej Polski. Był to chrzest Mazowsza, które ze stolicą wzięło na siebie odpowiedzialność za losy kraju, nie związanego dostatecznie z wschodem, przez Mazurów wykarczowanym. Mazur, jeszcze ślepy politycznie, bił się tak, jak to on bić się potrafi. Walka czy bójka — wszystko jedno. A grały przez niego dobre instynkty—źle wyzyskiwane. On się tak bić będzie w legjonach, bić się będzie co trzydzieści lat przez cały wiek 19-ty. Wyzyskiwać będą ten stan jego siły niewidzialne. Będzie to przewlekły dramat polski, który sięgnie w czas niepodległości nowej, jako chaos umysłów, jako nałóg, jako poza, jako snobizm, jako bandytyzm.

Krwi zlepu domaga się kultura polityczna tych nowych dzielnic polskich od Mazowsza na wschód, aż dojdzie do wyżyn myśli politycznej starych dzielnic polskich. Konfederacja Barska była odruchem cywilizacji polskiej, zachwianej w podstawach uczuć religijnych. Szlachta mazowiecka zaczynała od podstaw, od obrony Kościoła. Ona spracowaną w lasach i roli ręką zapalała światła przed cudownemi obrazami w Częstochowie i Ostrej Bramie. Jedno mieli jasne konfederaci barscy—kult Maryji.

Pułaski i ojciec i syn—to rycerze Mazowsza, to drobna szlachta mazowiecka, która w boju dobywała z siebie rozpędy i tytuły do koronowania swej misji cywilizacyjnej. Nic w dziejach na marne nie idzie, co się da ocalić przez świadomość. Mickiewicz zrobił z literatury organ tych świadomości narodowych. On ją pchnął na tę drogę, aby przyśpieszyła proces dojrzewania narodu, aby zapanowała nad dziejami jego myśl, aby już żaden Choisy nie powiedział o nim: naród-karzeł.

Z. W.

NA MARGINESIE

Uniwersytet wileński uznał za stosowne wybić na uroczystość swego 350-lecia medal z wyobrażeniem dwu zestawionych profilów: króla Batorego i obecnego p. ministra spraw wojskowych. A premjer Świtalski przyjechał do Wilna, gdzie oczekiwano wielkiej mowy politycznej, aby powiedzieć: „Jakże podobnymi ludźmi są te dwie postacie!“ Szkoda, że nie wybito medalu drugiego z Zamoyskim i p. Świtalskim. Wtedy p. premjer miałby okazję wspomnieć o swym poprzedniku w urzędzie. A tak zapomniał o tem i prasa dopytuje się: A gdzie Zamoyski? czy podobny do Świtalskiego?

*

Autor farsy pt. „Murzyn Warszawski“, p. Antoni Słonimski, wystąpił w ostatnich „Wiadomościach Literackich“ (nr. 40) jako specjalista w dziedzinie nauki o narodzie. Pisze więc: „Naród jest to fikcja logiczna, skrótowa, nazwa pozorna... trzeba się poczuć współwłaścicielem globu a nie rzecznikiem interesów gromadki, zamieszkałej pod taką czy inną szerokością geograficzną“.

Aby zrozumieć sens tych wyrazeń o „współwłaścicielach globu“ o narodzie jako „fikcji skrótowej“ i t. p. należy pamiętać, iż „gromadka“, której „rzecznikiem interesów“ jest p. Antoni Słonimski, rzeczywiście rozsiana jest po całym globie, a składa się ze... „skróconych“...

*

W tygodniu ubiegłym w prasie warszawskiej pojawiło się następujące ogłoszenie: „Hotel Europejski, sp. akc. ma zaszczyt zawiadomić, iż w dniu 1 października 1929 r. został otwarty handel win hurtowy i detaliczny pod firmą Piwnice Win Hotelu Europejskiego. Wejście vis-a-vis Komendy miasta“ Hm!.. Samo życie stwarza czasem najtrafniejsze kierunki i drogi najkrótsze.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELINSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27, Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM